

LUBLIN

**W NUMERZE: ROZMOWA Z ARTUREM SANDAUEREM**

## Robię to, co lubię

str. 9

**PROCES KATÓW MAJDANKA W DUSSELDORFIE**

**„Kobyła” załamana się w 369 (!) dniu rozprawy**

str. 10

**W ankiecie „Kamery” wypowiada się prof. dr hab. Andrzej Waksmundzki**

str. 6

# Kamery

LUBLIN 3 II 1980 NR 3 (697)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ



Puławski Teatr Amatorów. Marian Wojski z prawej i Ryszard Stępiec w „Emigrantach” S. Mrożka

Fot. Bogdan Szewczyk

## DESANT i wnioski nie zawsze wesołe

Zdzisław Klosowski

Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie spróbował znaleźć w terenie odpowiedź na pytanie: co dzieje się wieczorem w gminnych ośrodkach kultury naszego województwa? Przygotowano prościutki kwestionariusz obserwacji, ustalono, kto, gdzie i czym jedzie, a następnie wyszono na spotkanie z rzeczywistością.

**P**RZEDSIĘWZIĘCIE — chociaż żartobliwie nazwano je „desantem” — nie stało się okazją ani do żartów, ani radości. Jeszcze tego samego dnia, już po godzinie 21, ci uczestnicy „desantu”, którzy zdążyli powrócić, składali zapisane arkusze obserwacji, uzupełniając je dodatkowymi relacjami ustnymi, a prawda o jednym wieczorze w 17 GOK-ach (bo tyle odwiedzone) nie mogła budzić optymizmu. Wśród odwiedzonych placówek aż siedem było zamkniętych. Z tych siedmiu tylko trzy dało się jakoś usprawiedliwić (remont pomieszczeń, urlop dyrektora, inwentaryzacja zdawczo-odbiorcza z racji zmiany dyrektora). Pozostałe cztery GOK-i po prostu zamknięte, mimo że z treści wywieszek przed wejściem do budynków wynikało, iż w tych godzinach placówki powinny być czynne.

Dla osób z miasta fakt ten mógł być jednoznaczny, stanowił dowód łamania dyscypliny służbowej i manifestację lekceważącego stosunku do ludzi. Ale rzecz działa się na wsi, można więc tę interpretację złagodzić: widzieć zjawisko w szerszym kontekście wiejskiej obyczajowości. Ma ono bowiem związek z pewnym, ciągle jeszcze dość powszechnym, a głęboko zakorzenionym na wsi, wzorcem zachowań zawodowych. Ze względu na stosunkowo małe odległości między miejscem pracy, a domem mieszkalnym i gospodarstwem domowym, ze względu na nie dość wyraźne — w świadomości mieszkańców wsi — rozgraniczenie między czasem pracy zawodowej, a czasem pracy w gospodar-

Dokończenie na str. 4—5

## Od defilady do dialogu

Ireneusz J. Kamiński

**P**UŁAWSKI Teatr Amatorów istnieje już ponad 30 lat, więc zaraz po tym stwierdzeniu należałoby chyba przypomnieć zabawy teatralne Czartoryskich, urządzane u schyłku XVIII stulecia w pałacu i „Na Kępie”. Tym sposobem uzyskalibyśmy bowiem całkiem wdzięczną sytuację o nazwie „kontynuacja tradycji”, broniącą się przed

posądzeniem o demagogię innymi jeszcze faktami z puławskiej sceny, nanizanymi na wiek XIX i dwudziestolecie międzywojenne, kiedy to miejscowa młodzież szkolną wystawiała różne sztuki, wzruszając grotno, rodziców oraz bliższych krewnych. Przy okazji można by też przypomnieć ruch teatralno-towarzystwi, który rozwinął się wokół IUNG zaraz po

wyzwoleniu i do dziś wspomniany jest dzięki inscenizacji „Piłaka” Szanińskiego w reżyserii prof. Tadeusza Zulińskiego, anatomopatologa, a na dodatek lwowianina o temperamencie, jak mówią, cholerycznym. Owszem, bez tradycji, jak bez ojca i matki, ale czy nawet tak ładna i satysfakcjonująca przeszłość byłaby w stanie wspierać moralnie zespół,

który w swoją dojrzałość teatralną zaczął wchodzić w okresie potężnego zamieszania w obszarze sztuki, spowodowanego po części pojawieniem się telewizji? Zresztą i tradycja sama, tradycyjny sposób myślenia nie zawsze służy sztuce, o czym na własnej

Dokończenie na str. 8—9

# z notatnika

Marek Adam Jaworski

15 I. Dziś zmarł nagle w Toruniu Leszek Herdegen. Przeżył zaledwie pół wieku. Nie chce się uwierzyć, że ten wybitny aktor sceny polskiej nie zagra już żadnej roli i będzie przemawiał do nas tylko z taśmy filmowej...

Herdegen jako uczeń jednego z liceów krakowskich debiutował na łamach „Młodej Rzeczypospolitej”. Było to pismo, które bodaj przez półtora roku wychodziło w Krakowie stanowiąc trybunę najmłodszego pokolenia. Zanim więc zaczął wypowiadać się na scenie, a mam tu na myśli scenę wielką, czynił próby pisarskie. Zresztą i później do pióra wracał, zajmował się poezją i krytyką literacką. Przede wszystkim był jednak aktorem. Niepowtarzalnym. Ale czy dobre aktorstwo może być powtarzalne?

Pozostaje tylko żal...

19 I. Piętnastoletnie działalności lubelskiego ośrodka Klubu Młodych Pisarzy. W Klubie MPIK przy ul. Leonarda — uroczyste spotkanie z władzami województwa. Ciepłe słowa pod adresem „Kamery”, która od lat poświęca twórczości młodych sporo uwagi. Odznaczenia, nagrody pieniężne, dyplomy honorowe ministra Kultury i Sztuki. Cenne, mimo że podpisał się pod nimi jedynie wiceminister.

Wieczorem spotkanie w Klubie „Nora”. Spotkanie z założenia miało mieć charakter wspomnieniowy, było jednak mniej wspomnień, a więcej pogwarek przy bufecie. Pani Krystynie z trudem udało się pożegnać towarzystwo — w tym gronie gaszenie światła nie pomaga. Więcej światła — przypominano słowa Wielkiego Poety.

Przed południem w Klubie MPIK aktorzy czytali wybrane wiersze wybranych młodych twórców. Nie były to recytacje zbyt udane. Ale później usłyszałem: „Ja tych wierszy nie czuję, jak więc je mogę dobrze przekazać?”

Aktorzy to rówieśnicy poetów. W grę więc nie wchodzi różnica pokoleń. Ale właściwie czy trzeba dziś pisać wiersze dla mas? Dla mas jest Głuchowski, a nie Gaszyński. Przynajmniej na razie.

22 I. W „Nouvelles Littéraires” (przedruk w „Forum”) wywiad z Sartrem. Zainteresuje przede wszystkim dziennikarzy, bo o nich głównie mowa.

„Dawniej zdawało mi się, że dziennikarz to intelektualista, ale na ogół tak nie jest, dziennikarz to nie intelektualista. Facet, który redaguje kronikę wypadków we „France Soir”, nie ma nic z intelektualisty.”

„W niektórych epokach, jak na przykład w XIX wieku, intelektualści po prostu stawali się dziennikarzami. Victor Hugo w swej twórczości daje wiele znakomitych przykładów uprawiania dziennikarstwa. Inaczej mówiąc, dziennikarstwo nie było jakąś wyspecjalizowaną dziedziną ich działalności, do której zabieraliby się z wysiłkiem, narzucając sobie jakieś ograniczenia. Nie wydaje mi się, aby sytuacja, w jakiej jest dziennikarz, mogła kreować człowieka...”

Koledzy, głowy niżej!

23 I. 75 rocznica urodzin Konstantego Ildefonsa Głuchowskiego. Załuję, że nie mogę wziąć udziału w otwarciu wystawy, jaką z tej okazji właśnie otwarto w Muzeum Okręgowym w Suwałkach.

O poezji Głuchowskiego kilkakrotnie już pisałem w „Kamery”. Zygmunta Mikulskiego, znakomitego odtwórcę (z pamięci!) wierszy Poety. Niestety, Zygmunta po wypadku przeżywa na rekonwalescencji. Sądzę, że dzisiaj urządziłby nam kameralny wieczór...

Wkrótce ma się ukazać zbiorowe wydanie dzieł Głuchowskiego. Nakład bodaj 50 tysięcy. Co to jest! Już muszę szukać protekcji wśród księgarzy.

W radiowych „Czterech porach roku” głos Poety. Niestety, nie zachowała się żadna taśma filmowa, telewizja może pokazać jedynie zdjęcie Konstantego Ildefonsa, który zmarł w czasie niezbyt Jego Muzeum przychylnym. A tyle mógłby jeszcze napisać!

24 I. Leży przede mną czwarty numer „Słowa Podlasia”, tygodnika, który zaczął się ukazywać w Białej Podlaskiej. Widać tu nerw dziennikarski, troskę o graficzny wygląd pisma.

Stanisław Jadczyk podaje w interesującym artykule pt. „Podlasiaka portret własny”, że w gospodarce uspołecznionej województwa pracuje tylko 3140 osób z wykształceniem wyższym, a ponad 32 tys. — ze średnim lub zawodowym. Pozostali (ok. 30 tys.) mają wykształcenie podstawowe. „Nie jest to powód do dumy” — stwierdza autor. Redakcja „Słowa”, wiedząc, na jakich czytelników może liczyć, zaproponowała formułę magazynu, w którym każdy mógłby coś znaleźć dla siebie. Sądzę, że to była słuszna decyzja.

Fewną jednak wątpliwość budzi we mnie rubryczka pt. „Kronika naukowa” (już czwarty odcinek), w której ośmieszają się owoce pewnych badań. Postępowałbym tu bardziej ostrożnie. Nie wiem np. czy praca pt. „Wpływ odmiany i czynników agrotechnicznych na jakość ogórków przeznaczonych do kwaszenia” godna jest potępienia, zwłaszcza w Białsko-podlaskim (terespolskie!). Albo (z poprzedniego numeru): „Za wartość ołowiu, miedzi, cyny i arsenu w posilkach dzieci do lat trzech z wybranych źróbków województwa lubelskiego” czy wreszcie: „Imigranci ze wsi w strukturze społeczno-demograficznej oraz w procesie reprodukcji ludności Warszawy w latach 1945—1975.”

Odpowiedni fachowcy mogliby się w tej sprawie kompetentniej wypowiedzieć.

25 I. Karas Romuald mocno obniżył loty i wyładował z tekścikiem pt. „Pro domo sua” na szpaltach „Tygodnika Zamojskiego”. Pro domo sua a więc dla swego domu. Tym domem stała się obecnie dla Karasia Warszawa, aczkolwiek, co przyznaje, mieszka już (chyba zaledwie?) w stolicy lat dziesięć, należąc do tych (cytać: „jak mawiają moi koledzy ze środowisk dziennikarsko-literackich”), którzy zdradzili Lublin. Nie on jeden. I nie tylko Lublin. Ale posłuchajmy wynurzeń Karasia:

„Rozmawiałem z wieloma nowo upieczonymi warszawiakami. Ani razu nikt nie czynił sobie wyrzutów, iż zdradził Kraków, Gdańsk, Wrocław, Białystok. Na ogół przeważała opinia, że to tamte miasta ich się pozbyły, prawdę mówiąc z ulgą. I na dowód odmalowywali w dosyć czarnych kolorach swoje perypetie twórcze. Wniosek sprowadzał się do tego, że w lokalnych układach trudno wyrastać choćby o głowę ponad środowisko, a znacznie bezpieczniej równać do najniższego.”

Od Krakowa do Gdańska, od Wrocławia do Białegostoku — jedna wielka prowincja! Prowincja-noć! Równanie w dół! Ach wy, maluczy! Szkoda, że Karas nie postawił kropki nad „I”, trudno mi więc powiedzieć, czy w czasie długoletniego pobytu w Lublinie wyrósł choćby o głowę czy aż o Himalaje ponad tutejsze środowisko. Musiał jednak wyrosnąć względnie wysoko, skoro w swoim tekście nie szczędził uszczypliwych uwag pod adresem „Kamery” w jej dalszym kształcie zupełnie zapominając, jak to nie tak znów dawno sam chciał w niej pracować. Może właśnie dlatego niby mimochodem zauważa, że to wła-

śnie ja jestem tym jabłkiem, które daleko padło od jabłoni!

Romciu, popełniłeś plagiat. Tak o mnie napisał już w 1977 roku na łamach londyńskich „Wiadomości” (nr 1845), pisemka zbankrutowanych polityków, niejaki J. L., dodając, że „to jabłuszko nie tylko upadło daleko od macierzystej jabłoni, ale poza tym szybko zrobaczywiało i zgnilo.” Nieprawda! Rumiane jabłuszko wesoło się toczy...

Na tym mógłbym właściwie temat zakończyć, ale ręka świerzbii — warto i inne perły karasiowej publicystyki upowszechnić:

„Nie sposób było nie dojrzeć atutów Warszawy. W porównaniu z Lublinem rzucała się w oczy jakaś wzmożona dynamika. Jako reporter publikujący dosyć sporo, byłem przyzwyczajony do roboty, ale tutaj przyszło wziąć się do niej w dwójnasób. Każdy miał napięte plany, działał na kilku frontach — czynnie uczestniczył w redagowaniu pisma, wydawał książki, współpracował z radiem, telewizją, filmem. Kiedy lubelskim zwyczajem przy każdym spotkaniu z nimi (z tymi każdymi?) snułem długie opowieści na temat, co słychać, patrzyli na mnie jak na raroga. Moich kolegów nagliły terminy, czas uciekał! Na szczęście zorientowałem się w miarę szybko, że trzeba pójść w ich ślady. Dziś już krzywo spoglądam na gadatliwość nowo kreowanych warszawiaków, raz po raz zerkając na zegarek. Wiem, że nie wolno trwonić czasu, gdy się minęło półmetek życia i człowiek zdaje sobie sprawę, jak wiele ma do odrobienia. Doping w środowisku reportersko-literackim (to mój świat) jest na stołecznym gruncie bardzo wyraźny. Obserwuje się rywalizację twórczą. Zdumiewające: prawie nie ma zawiści...”

Klitus bajduś, módl się za nami. W Zamościu również. A swoją drogą najgorsi są prowincjusze, którzy kabotynią w Warszawie. Umysł na deser. Amen.

26 I. Studio II tym razem z nową ekipą prezenterów. Dlaczego? Wytlumaczenie po „Dzienniku wieczornym”: „Zwiększa się liczba wolnych sobót, a więc i nowi prezenterzy”...

Człowiek się diabłu przyzwyczaja do ludzi, którzy poprzez szklany ekran stają się naszymi dobrymi znajomymi, ba — przyjaciółmi. Więc Studio II jest dzisiaj jakiejś innej, obcej, brak sarkazmu Mikołajczyka, rozbrajającego uśmiechu Szulka, elegancji Waltera...

A czym byłby „XYZ” bez Kałuzińskiego, bez jego gestów, elokwencji, zadziorności? W ostatnim „XYZ” stosunkowo łatwo odgadnięto Sokorskiego. Ale potem śmieśnię było, kiedy bohaterzy programu mylili się, raz mówiąc do siebie per ty raz per pan. Zapewne próbowali wziąć sobie do serca pewne krytyczne uwagi prasowe, ale co raz wejście w krew...

W jednym z tygodników (tyle się tego czyta, że można zapomnieć, w którym) znalazłem pochwałę Grzegorza Woźniaka. Długo gościł w II programie, ale od dłuższego czasu już na dobre zadomowił się w pierwszym. Trzeba przyznać, że autorka felietonu ma wiele racji: Woźniaka chce się słuchać. Zashuga to też czasów, w których żyjemy, chociaż osobiście (nie tylko ja), wolałbym, aby wiadomości ze świata były bardziej krzepiace. Prezydent Carter po znanych wydarzeniach w Afganistanie domaga się rezygnacji Igrzysk Olimpijskich w Moskwie. Prezes MKOl, lord Killania podkreśla w odpowiedzi, że próby wykorzystania Olimpiady do celów politycznych spotykają się na całym świecie z potępieniem. Francuski minister Jean Pierre Solisson stwierdza zaś, że „Igrzyska są dla sportowców, a nie dla polityków”. A premier grecki zauważa, że ingerencja polityki w sprawy sportu jest rzeczą godną pożałowania.

Kto jak kto, ale polityk, zwłaszcza takiej rangi jak prezydent USA, nie powinien poddawać się emocjom.

## SZPALTA O SPORCIE

MARIUSZ napisał w „Standardzie Ludu”, że grając w lotka można stracić (zawierając zakłady proste): w Dużego Totka minimum 45 zł, w Małego Lotka — 55 zł. Mariusz należy do tej grupy obywateli PRL, która nie pasjonuje się hazardem. Wiedziałby bowiem, że w Dużego nie 45 zł, lecz 25 zł, a w Małego nie 55 zł, lecz 40 zł. Nie zadabry również takiego pytania dyrektorowi Międzywojewódzkiego oddziału PPTS w Lublinie, który podał częścię padające liczby (7, 17, 23, 23, 23, 43): „Co się stanie, jeżeli czytelnicy „Standardu Ludu” skreślą podane wyżej numery i w najbliższym losowaniu padnie tak wiele wygranych?” Odpowiedź jest bardzo prosta: gdyby wszyscy czytelnicy zagrali na te numery, ich portmonetki zasłabłyby drobiazgi. Za szóstkę placano by mniej niż zwykle płaci się za trójkę...

Idąc śladem Mariusza napiszę w dzisiejszej „Szpalcie o sporcie” na temat rozgrywek o Puchar Anglii. Rozgrywki te pasjonują wielu Polaków zwłaszcza z uwagi na zakłady Totalizatora Sportowego.

Ponieważ z pewnym docentem założyliśmy dwuosobową „spółdzielnię” i jakos nie plałujemy, kilka uwag na temat ostatniej soboty.

Będący na trzecim miejscu w tabeli I ligi Arsenal gładko wygrał na swoim boisku (2:0) ze znajdującym się na siemnastym miejscu Brighton. Tu nie było niespodzianki (Arsenal w rozgrywkach ligowych wygrał w tym sezonie z Brighton 3:0 u siebie i 4:0 na wyjeździe). Podobnie I-ligowy Bolton (choć zamykający tabelę) pokonał Halifax z IV ligi. Ale tutaj grający mogli się naciąć, bo tenże Halifax wyeliminował z rozgrywek pucharowych Manchester City, trzeba więc było uważać przy typowaniu.

Analizujemy dalej. Bristol City (I liga) przegrał u siebie z Ipswich (1:2). Bristol City nie ma do Ipswich szczęścia, więc i tu bez sensacji. Pozycja czwarta TS: Cambridge (15 miejsce w II lidze) — Aston Villa (dziewiąte miejsce w I lidze). Remis 1:1. Można było przewidzieć, podobnie jak i remis (0:0) Carlisle (III liga) z II-ligowcem Wrexham. Wiadomo — różnicę poziomu naweluje własne boisko.

Chester pokonał (2:0) Millwall — na boisku spotkały się dwie drużyny III ligi.

Najbardziej pasjonujący był mecz Nottingham — Liverpool. Tydzień temu w rozgrywkach ligowych Nottingham wygrał u siebie z Liverpool 1:0, teraz zaś role się odwróciły: 2:0, ale na korzyść Liverpool. Grający musieli uwzględnić trzy możliwości, bo i remis był możliwy.

Pozycja ósma: Orient-West Ham, West Ham ma dobrą passę: wyeliminował przecież West Bromwich, teraz też wygrał z Orient na boisku przeciwnika 3:2. Niektórzy spośród grających mogli się potknąć.

I-ligowy Tottenham zaledwie zremisował z III-ligowcem Swindon (na wyjeździe), a będący na szesnastym miejscu w tabeli II ligi Watford pokonał amatorki zespół Harlow Town. A więc bez sensacji, nie mniej tenże Harlow Town wyeliminował z rozgrywek pucharowych II-ligowy Leicester (trzecie miejsce w tabeli).

Wolverhampton — Norwich 1:1, chociaż w lidze Wolves wygrał z Norwich 1:0. Ale Norwich lubi remisować.

Blaepool — Grimsby (III liga) 1:1. I pomyśleć, że dwa sezony temu Blaepool grał w II lidze! Teraz grozi mu spadek do czwartej.

Ostatnia pozycja: Mansfield — Wimbledon 1 remis 1:1. Do przewidzenia, chociaż piłka jest okrągła.

W zasadzie więc bez wielkich niespodzianek, chociaż gospodarze wygrali jedynie w czterech przypadkach. Poza tym było aż pięć remisów i cetero rzwiciwstwa gości, wylosaty więc mogą być niezłe. (Łatwo analizować po fakcie).

W najbliższą sobotę TS obejmują rozgrywki I i II Ligi Angielskiej. Moje typy: 1) IX, 2) IX, 3) X, 4) IX, 5) IX, 6) IX, 7) X, 8) IX, 9) IX, 10) IX, 11) X, 12) X, 13) 1.

Mogę typy podać bez obawy o konkurencję, znawcy dobrze wiedzą, że trzeba było wyłożyć aby ewentualnie prognoza w 100 procentach się sprawdziła. Jeśli sprawdzi się choć z jednym błędem, już wystarezy, by polecić grającemu na kopatki. Dlatego i w Totalizatorze Sportowym trzeba liczyć na szczęście.

A może autor niniejszego znalazł jeszcze jednego kandydata do „spółdzielni”? Docent się zgadza.

GOL.

**T**ERAZ jest więcej czasu — mówi Waclaw Różga. — Teraz się częściej po lesie pochodzi, ze strzelbą do Siemienia na dzięki pojedzie, zaszyje się człowiek w odległej rybaczkówce albo w leśniczówce w Woroncu... i częściej przychodzą wspomnienia, chwile refleksji. Nagle uswiadomiłem sobie, że kończę w lutym 69 lat. Rozpoczynam siedemdziesiąty roku życia. Wkrótce minie 48 lat, jak wstąpiłem do partii, a pół wieku od czasu, gdy związałem się z działalnością rewolucyjną...

Siedzimy przy stole w mieszkaniu przy ulicy Szopena w Lublinie. Spod pieca popatruje na nas towarzyszy myśliwskich wędrowek Waclawa Różgi, piękny szorstkowiedz wyżeł; ściany pokoju zawieszono są skórkami dzików, pysznia się poroża jeleni, groźnie lyskają z kunsztem oprawione szable odyńców, z wyżyn masywnej dębowej szafy bibliotecznej szukuje się do lotu wypchany cietrzew. Jak byśmy się przenieśli gdzieś w białskie lasy...

Lecz nasza podróż odbywa się nie tylko w przestrzeni, również w czasie: spoglądam na leżący przede mną na stole order Budowniczego Polski Ludowej i szukając się do zadania sakramentalnego dziennikarskiego pytania o początek drogi życiowej jego posiadacza, przypominam sobie słowa Waclawa Różgi, które wypowiedział kiedyś w rozmowie z innym dziennikarzem: „Przez wszystkie te lata dawałem z siebie tyle, na ile mnie było stać. Nie oszczędzałem się. Czy to było dużo, czy mało — mnie trudno ocenić”. I słucham opowieści o tym, jak to dziwnie się w życiu składa, że człowiek zatacza w ciągu wielu lat ogromne koło, aby znów wrócić na wieś, do pól i lasów, z których kiedyś wyszedł. Jeżeli nawet nie sam, to przynajmniej poprzez swoich synów.

Waclaw Różga wychował troje dzieci. Córka — lekarka, pracuje w Lublinie, ale dwaj synowie, którzy zostali lekarzami weterynarii, mieszkają i pracują daleko w „terenach”.

A on sam miał trzech braci, trzy siostry i urodził się daleko od Lubelszczyzny, z którą miał następnie związać większość swojego życia, we wsi Wadlew, położonej szesnaście kilometrów od Bełchatowa. Urodził się 25 lutego 1911 roku w rodzinie małorolnego chłopca i od najmłodszych lat poznawał gorączkę pracy w majątkach obszarniczych.

W 1928 roku Waclaw Różga ukończył szkołę rolniczą w Sędziszowie niedaleko Sieradza, a w dwa lata później dał już o sobie znać mocnym wystąpieniem podczas wiecu robotniczego w Łodzi. Tym zdecydowanym akcentem rozpoczął działalność rewolucyjną.

Miał 21 lat, kiedy w kwietniu 1932 r. wstąpił w szeregi Komunistycznej Partii Polski; w 1934 r. rozpoczął już swój pierwszy „staż” więzienia politycznego. Został aresztowany jako człowiek niebezpieczny: był organizatorem pierwszej grupy rewolucyjnej w rodzinnym Wadlewie, aktywnym działaczem zajmującym się problemem bezrobotnych, członkiem Wydziału Rolnego Okręgowego Komitetu KPP w Częstochowie. Skazany na dwa lata więzienia, zaraz po wyjściu na wolność wrócił do poprzedniej działalności; m. in. współuczestniczył w organizowaniu Frontu Młodego Pokolenia.

Znowu więzienie. W 1936 r., będąc na posiedzeniu Komitetu Dzielnicowego KPP w Bełchatowie, został wraz z innymi aresztowany, a następnie postawiony przed sądem. Tym razem wyrok opiewał na cztery lata. Osadzono go w więzieniu w Sieradzu. Tak niedaleko było stąd do szkoły rolniczej w Sędziszowie, w której przed ośmiu laty pobierał nauki! Teraz swoją edukację, ale już edukację działacza partyjnego, komunisty, będzie kontynuował za murami „Sieradza”...

W tym czasie w sieradzkim zakładzie karnym odświadczało wyroki wielu komunistów. Między innymi na tym samym, co Waclaw Różga, oddziale przebywał Władysław Gomułka. Spotykali się często w czasie wieczornych spacerów oraz w „kartoflarni”. Kartoflarnią zwano w „Sieradzu” pomieszczenie, w którym więźniowie obierali ziemniaki dla kuchni. Określone grupy z poszczególnych oddziałów raz w tygodniu były zobowiązane do pracy w „kartoflarni”. Do pracy tej chodzono chętnie, bo dawała możliwość kontaktu ludziom osadzonym w różnych celach, a poza tym służyła za rodzaj „sali szkoleniowo-dyskusyjnej”. Tutaj właśnie podczas pracy odbywały się szkolenia, wygłaszano półgłosem, do najbliższej siedzących referaty oraz prowadzono dyskusje. Waclaw Różga jeszcze dzisiaj pamięta temat jednego z referatów, jakie wówczas polecono mu przygotować...

A potem nadeszła wojna. We wrześniu 1939 r. — jak wielu innych polskich komunistów wypuszczonych z więzień — stanął Różga do walki z najeźdźcą; wstąpił ochotniczo i walczył w Robotniczej Brygadzie Obrony Warszawy.

Po zakończeniu Kampanii Wrześniowej znalazł się niedawny więzień polityczny, a następnie obrońca Warszawy, na terenach za Bugiem. W rodzinne strony nie miał po co wracać; Niemcy ze szczególną zjadłością wyłapywali komunistów, opierając się m. in. na przechwyconych policyjnych kartotekach, a Różga miał w nich zapisany niejedyn efektywny rozdział.

W zagubionym gdzieś na Białorusi Radziwiłłowie został po pewnym czasie mianowany dyrektorem przejętej przez władzę radziecką garbarni, a następnie awansował do jednostki nadrzędnej, którą — stosując dzisiejszą nomenklaturę — można by nazwać Zjednoczeniem Przemysłu Terenowego. Musiał mierzyć się z zadaniami jakie nieraz przerastały jego siły, doświadczenie i umiejętności. I tam właśnie, w Radziwiłłowie, zapamiętał na

całe życie słowa swego zwierzchnika: „Kiepski kierownik, który nie potrafi zmieścić się w przepisowych godzinach pracy, kiedy przesładuje całe dni i noce przy biurku”.

— Na zawsze to sobie wzięłem do serca — powiada teraz Waclaw Różga — i nigdy nie stroniłem od wypoczynku, od ruchu na świeżym powietrzu. A że lubiłem polowanie i moja żona też niejednemu dzika ustrzeliła, więc macie tutaj oto rezultaty: ja sam na zdrowie dotąd nie narzekam, a

## DELEGAT NA VIII ZJAZD PZPR

# Zeby człowiek czuł się człowiekiem...

Mirosław Derecki



Waclaw Różga

Fot. Jacek Mirosław

zresztą... możecie zobaczyć na ścianach. Był tutaj w Lublinie jeden towarzysz, który ciągle się dziwił: cóż ci myśliwi widzą w ogniu zajęcia? A to wszak nie o „ogon zajęcia” chodzi, a o relaks...

I tutaj rozmowa nasza kieruje się z powrotem w rejony zabużańskich lasów, a potem opowieść przenosi się daleko na północny wschód, aż do Moskwy, gdzie Waclaw Różga znalazł się wówczas, gdy polscy komuniści postanowili reaktywować partię robotniczą. Skierowany następnie do niewielkiej miejscowości obok Puszkino, podjął studia w szkole partyjnej działającej przy Komitecie Wykonawczym Międzynarodówki Komunistycznej. Studiowano tam nauki polityczne, ale zdobywano również wiedzę wojskową, były nawet ćwiczenia artyleryjskie.

W końcu 1943 r. Waclaw Różga wszedł w skład Grupy Inicjatywnej dla spraw odbudowy partii i został wraz z kilkunastoma innymi osobami — m. in. Leonem Kasmanem — przetrzynany samolotem przez linię frontu w rejon Pińska. Była to kolejna Grupa Inicjatywna.

Kompletowanie i wysyłanie grup odlatujących na zachód było otoczone ścisłą tajemnicą, aby nie dać najmniejszych szans wrogowi wywiadowi. Waclaw Różga wspomina, że nawet w Moskwie odbierał swoje dokumenty na hasło, w... jednej z tamtejszych aptek a występował przy tym jeszcze na dodatek pod przybranym nazwiskiem.

W Pińskiem istniały już wtedy, w 1943 r., całe „kraje partyzanckie”, rejony, w które Niemcy ball się zapuszczać. Po wejściu w ścisły kontakt z miejscową partyzantką członkowie Grupy Inicjatywnej przystąpili do organizowania oddziału partyzanckiego. Z tamtego okresu Waclaw Różga wspomina ze szczególnym sentymentem kontakty z Aleksandrem Skotnickim, z Czesławem Klimem, którego oddział wchodził w skład radzieckiej Pińskiej Brygady Partyzantów pod dowództwem G. I. Szubittidze. Klim był zawodowym chorążym z przedwrześniowej polskiej armii, dawnym legionistą, należał kiedyś do PPS. Teraz opowiadał się po stronie lewicy; współpracował aktywnie z ra-

dziecką partyzantką, jedną z jego córek — z radzieckim wywiadem, druga była zakochana w czerwonarmiście...

Klim już w Polsce Ludowej w Milicji Obywatelskiej, dosłużył się stopnia podpułkownika.

Formalnie dowódcą grupy bojowej powstałej w oparciu o Grupę Inicjatywną był Kasman, ale wojskowo przewodził jej Ignacy Borkowski, mający największe doświadczenie wojenne, m. in. jeszcze z Hiszpanii, gdzie w armii republikańskiej był dowódcą kompanii karabinów maszynowych. Właśnie kapitan Ignacy Borkowski w 1944 r. stanął jako kpt. „Wicek” na czele 1 Brygady Armii Ludowej im. Ziemi Lubelskiej po kapitanie W. Skrzyplu „Grzybowski”, poruczniku F. Kozyrze „Błyskawicy” i kapitanie A. Flisie „Maksymie”. Waclaw Różga, współorganizator Brygady, zajmował w niej stanowisko zastępcy dowódcy. Nosił pseudonim „Stefan”.

W 1944 r. „Stefan” nawiązał kontakt z lubelskim Komitetem Obwodowym PPR, był jednym ze współorganizatorów, a następnie członkiem tutejszej Wojewódzkiej Rady Narodowej. Zaś w czerwcu 1944 r. przyszy ciężkie walki w okrażeńiu w lasach jankowskich, lipskich i wreszcie w Puszczy Solskiej.

Wolność powitał Waclaw Różga właśnie na Lubelszczyźnie, która stała się jego drugim regionem rodzinnym. Miał uczestniczyć w jej wkroczeniu w rzeczywistość Polski Ludowej, walczyć o umacnianie władzy ludowej, sprawować wysokie funkcje partyjne i administracyjne. I tutaj, jak do ziemi rodzinnej, miał wrócić na stałe.

Sięgam po leżącą na stole obok notatnika kartkę — przed przyjściem tutaj wypisałem sobie z artykułu Józefa Kisielewicza w „Sztandarze Ludu”: „Ich droga do partii — Waclaw Różga” szereg danych: „Po wyzwoleniu Lublina Waclaw Różga zajmuje się organizowaniem KW PPR. Wchodzi w skład jego pierwszej Egzekutywy. Zostaje członkiem Prezydium WRN. Pełni funkcję sekretarza KW PPR, a następnie wojewody lubelskiego. W późniejszych latach: wojewoda kielecki oraz pierwszy urzędujący wiceprezes ZBoWiD-u. W 1948 r. — na Kongresie Zjednoczeniowym zostaje wybrany przewodniczącym Komisji Rewizyjnej KC PZPR. W 1950 r. — kierownik Wydziału Administracyjno-Samorządowego KC PZPR. W 1951 r. — obejmuje stanowisko generalnego dyrektora PGR, a po przekształceniu instytucji w odrębne ministerstwo zostaje wiceministrem. Lata 1951—1958: przewodniczący Prezydium WRN w Rzeszowie. Potem znów w Lublinie: prezes Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych. Od 1964 r. aż do przejścia na emeryturę — praca w lubelskim aparacie partyjnym; przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej. Obecnie, jeden z trzech ludzi na Lubelszczyźnie, którym przyznano tytuł i order Budowniczego Polski Ludowej, posiadacz licznych najwyższych odznaczeń jest członkiem Egzekutywy KW PZPR w Lublinie, przewodniczącym Komisji do spraw Działaczy KW. Jest we władzach łowieckich. Ostatnio został wybrany delegatem na VIII Zjazd PZPR”.

To są fakty. Skrótoowo ujęty bilans niezwykle aktywnego życia. Wznoszący się, suchy wykres pracy i osiągnięć.

A tymczasem my siedzimy pochyleni nad sterką zeszytów o pożółkłych już trochę kartkach, na których czernią się wpisane ołówkiem nazwiska i imiona. Niekiedy w rubrykach poświęconych danym personalnym, miejscu urodzenia, dacie narodzin, widnieją luki. Czasem brak nazwiska, gdzie indziej jest tylko partyzancki pseudonim albo miejsce śmierci. 635 pozycji. Każda dotyczy człowieka, który był kiedyś żołnierzem 1 Brygady AL im. Ziemi Lubelskiej. Kartoteka wciąż uzupełniana przez Waclawa Różgę, ale ciągle jeszcze pełna białych plam, które nigdy nie znikną z rejestru. Co się z tymi ludźmi stało? Gdzie odeszli? Co robią? Czy żyją?

Niektórzy spośród nich sprawują dzisiaj wysokie stanowiska. Przesyłają kartki, listy z życzeniami, spotykają się na zjazdach i naradach ze swoim byłym zastępcą dowódcy Brygady. Ale po „Dziku” na przykład zachował się tylko numer jego karabinu — „2734” i to, że był w piątej kompanii. A jak się nazywał naprawdę? Co się z nim stało? Wspomnienia, które wywołuje krótka, niepełna notatka w zeszytach: „Janek był taki... trzech gestapowców wziął do niewoli... Taka... Jaska z Budek za Kraśnikiem, była sympatią Borkowskiego, gdzie ona teraz?” Gestwina trudna do przedarcia: „Był, wybył z oddziału, został ranny, wrócił... i znowu brak wiadomości o człowieku...”.

A jednak niektóre luki wypełniają się. Ostatnio wielu ludzi pojawia się po latach; proszą, żeby poświadczyć ich przynależność do Brygady, zaświadczyć o udziale w bojach. I wtedy zeszyty o pożółkłych kartkach przestają być tylko podstawą do wspomnień.

— A życie, oczywiście, idzie naprzód — powiada Waclaw Różga, spoglądając na mnie poprzez długosć stołu znad swoich zeszytów. — I zawsze są w nim problemy do rozwiązania. Kiedyś ludzie ginęli od kul lecących im prosto w twarz albo, co gorsza, sypanych się zza węglów. Młodziś mówi o nich: waleczni, bohaterowie pełni poświęcenia... Każda epoka wymaga jakiegoś ogromnego samozaparcia stosownie do czasu, w jakim się toczy, i w każdym pokoleniu jest miejsce na poświęcenie, aby strzec tego, co dobre, a walczyć z tym, co złe. Zawsze walczyć o to, aby człowiek czuł się człowiekiem.

# DESANT i wnioski nie zawsze wesołe

Dokończenie ze str. 1

stwie domowym, między funkcjami społecznymi, a miejscem ich wykonywania — „elastyczne” traktowanie kategorii czasu i przestrzeni jest czymś zwyczajnym, mieszczącym się w środowiskowej normie.

Nauczycielka wiejskiej szkoły zadaje dzieciom pracę klasową, wyznacza odpowiedzialnego za porządek w klasie, a sama wychodzi do swego mieszkania (szczególnie często to się zdarza, gdy mieszka w szkole), żeby ugotować obiad. Sprzedawczyni z wiejskiego kiosku „Ruchu” część towaru (szczególnie papierosy) trzyma w domu, żeby członkowie rodziny i najbliżsi sąsiedzi mogli o każdej porze dnia dokonać zakupu. To zjawisko wiąże się też z przewagą styczności osobowych nad rzeczowymi i charakteryzuje wiejski styl życia.

Znam dyrektorkę GOK-u, której dzieci nie wracają ze szkoły do domu, bo tam nikogo nie było, lecz do miejsca pracy mamy. Tu spożywały posiłek, odrabiałały lekcje i bawiły się. Referent GS-u wyskoczy „na chwilę” do domu, żeby podkarmić kury, a dyrektor GOK-u zamknie „na chwilę” placówkę i wyjdzie, żeby w domu napaść w piecu. Nie formalizując zawodowych cnót — można by nie mieć im tego za złe, szczególnie gdy nikt na tym nie traci. Na wsi w większości wypadków tak właśnie jest, ma się w tym względzie dla funkcjonariuszy różnych instytucji dużo wyrozumiałości. Zresztą wiadomo, gdzie kto mieszka i zawsze można go wyciągnąć z domu.

To wyjaśnienie nie może usprawiedliwić niedyscyplinowanych pracowników GOK-ów, a ukazuje jedynie podłoże społeczne zjawiska i jego złożoność.

W 10 otwartych GOK-ach obserwatorzy „desantu” interesowali się wieloma sprawami i czas wykorzystali pracownicy, ale na szczególną uwagę zasługują te spostrzeżenia, które przybliżają nam charakter aktywności zawodowej pracowników GOK-ów oraz rozmiary i rodzaje uczestnictwa społecznego w pracy tych placówek.

Zorganizowane zajęcia odbywały się tylko w Piaskach i Strzyżewicach. W Piaskach ok. 10 chłopców, członków koła modelarskiego, pod kierunkiem nauczyciela miejscowej szkoły miało zajęcia w modelarni, a w miejscowości Rechla, gmina Strzyżewice, dyrektor GOK-u prowadził zajęcia z młodzieżowym zespołem śpiewaczym. W pozostałych ośmiu GOK-ach obserwatorzy albo nie stwierdzili uczestnictwa w ogóle, albo bliżej nieokreślone „zajęcia” kilkuosobowych grup walczącej się po korytarzach i klatkach schodowych, a w najlepszym wypadku oglądających program telewizyjny.

Natomiast pracownicy placówek zajmowali się przeróżnymi czynnościami, wśród nich sporo było takich, które nader luźno wiązały się z czymś, co nazwać można „zaspokajaniem potrzeb kulturalnych środowiska”. Do takich czynności należało zaliczyć między innymi wypisywanie na tezkach z dokumentacją tytułów, zapoznanie się

z zakresem zadań, opracowywanie miesięcznego planu pracy, zakup środków czystości i materiałów biurowych, sprzątanie pomieszczeń i dyżur w GOK-u (?). Bliższy związek z zadaniami upowszechniania kultury miały zaś takie — zaobserwowane — prace, jak: rozmowa na temat wystawy prac koła modelarskiego, rozmowa z dyrektorem gminnej szkoły w sprawie uczestniczenia w pracach koła plastycznego młodzieży szkolnej, odświeżanie wypożyczonych z Biura Wystaw Artystycznych obrazów, odświeżanie plansz informacyjnych wykorzystywanych na dni miejscowości, formułowanie ogłoszeń o zapisach do zespołu i zaproszeń na imprezę inauguracyjną, przygotowywanie się do konsultacji planu pracy w klubie wiejskim.

Do typowych zjawisk, odnotowanych podczas „desantu”, zaliczyć należy: nieprzestrzeganie godzin otwarcia GOK-ów, brak zajęć zorganizowanych, niepokojąco małą liczbą uczestników (ogółem w 17 placówkach przebywało tego wieczoru około 60 osób), brak działań na rzecz innych sołectw gminy poza siedzibą GOK-u (wyjątek: Poniatowa i Strzyżewice).

W związku z tym, że gminne ośrodki kultury w Poniatowej i Strzyżewicach wyróżniły się w opisywanej obserwacji pozytywnie — pracą na rzecz szerszego obszaru gminy — a przy tym oba nie posiadają własnego wygodnego lokalu, nasuwa się wcale niezłośliwe przypuszczenie, iż większa aktywność pracowników w terenie gminy wiąże się w jakiś sposób z niskim komfortem lokalowym. Być może, te wygodne, zaciszne pomieszczenia z biurkami mają siłę „uziemiającą” paraliżującą ruchliwość zawodową. Nie upraszczajmy jednak sprawy...

W GOK-ach zatrudnione są na ogół młode kobiety. Praca w klubach wiejskich z zespołami ludzi rozłożona jest na późne godziny wieczornego mroku i ciemnej nocy. Wsie, na ogół nieoświetlone, nierzadko leżą poza szlakami komunikacyjnymi. Nawet jeżeli we wsi jest przystanek PKS, to zwykle ostatni autobus, którym można wrócić do domu, odjeżdża nie później niż o 16-ej. Jeżeli więc nawet któraś z kobiet odważyłaby się wyruszyć poza miejscowość gminną, to niemało odwagi musiałaby wykazać i hartu ducha, żeby w ciemną noc pokonać kilkukilometrowy odcinek drogi na plechotę, często przez las, albo w narzuconym towarzystwie zamoczonych alkoholem osobników. Taka sceneria nie zachęca do regularnej pracy.

Równie interesującego materiału z tego samego terenu dostarczyła inna obserwacja, przeprowadzona już nie przez pracowników Wojewódzkiego Domu Kultury, ale przez dyrektora jednego z GOK-ów. Dyrektor ten przez 54 dni systematycznie, dzień po dniu, notował w zeszycie, co robił, czym się zajmował. Ponieważ jest to obserwacja dokonywana na samym sobie, przyjmijmy, że obserwator miał prawo być nie zawsze obiektywny, choć na pewno usiłował wiernie odtworzyć przebieg własnych czynności. A oto przykład zapisu z jednego dnia:

„Godz. 8.30: przygotowuję druki na podpisywanie umów z palaczami co, Z racji, że nie umiem jeszcze dobrze pisać na maszynie, zabiera mi to ok. jednej godziny.

Godz. 9.15: załatwienie w księgowości w Urzędzie Gminy spraw podwyżek dla instruktorów i sprzątaczek; pobieranie w kasie Banku Spółdzielczego należności za delegację oraz sumy potrzebnej dla pracowników za uprzątnięcie i oczyszczenie piwnic.

Godz. 11.30: podpisujemy z palaczami umowę. W tzw. „międzyzwanie” wydzwaniam do SKR-u po ekipę do remontu kanalizacji; próbujemy wspólnie z palaczami uruchomić centralne ogrzewanie.

Godz. 14.30: przyjeżdża ekipa remontowa z SKR-u, nadzoruje ich pracę”.

Innego dnia obserwator odnotował kolejno wykonywane czynności nie podając godzin:

„Odebrałem dziś mnóstwo telefonów, a potem sam zacząłem wydzwanian do SKR-u o wywóz szamba. Założyłem tezkę na dokumentację na cały rok, książkę rejestracji pism przychodzących i wychodzących, oraz kontrolkę rozmów telefonicznych. Z okazji korzysta kierownik Gminnej Biblioteki Publicznej i podrzuca mi do oznakowania swoje tezki. Po południu przez kilka godzin męczę się nad sprawozdaniem statystycznym dla GUS-u”.

Znamienne: notatki o podobnej treści dominują w dzienniku, sprawy związane bezpośrednio z działalnością kulturalną zajmują w nim niewiele miejsca.

O stylu organizacji pracy w GOK-u świadczyć może zapis z notatnika obserwacji datowany na 21 i 22 stycznia. Dotyczy on jednej z trzech koronnych imprez przygotowywanych i zorganizowanych w tym czasie. A oto relacja z organizacji imprez:

„Dzisiaj jest piękna zimowa pogoda. Zwolujemy się tedy z młodzieżą na

imprezowej. Mimo że ta impreza zaimponowała była... nie, to dopiero w przeddzień na chybika, telefonicznie, co, gdzie, z kimś się w biegu załatwia, uzgadnia. Do samego końca żadnej pewności. W efekcie nie trochę, ale całkowity niewypał imprezowy, bo kulig został ogłuszony z uroku jazdy konnymi sankami, a pod względem programu licho wzięło spotkanie z sąsiadami, do których przecież kulig jechał z „dobrym słowem”. Cóż, kiedy ze złą organizacją...”

Na podstawie lektury dziennika można by przypuszczać, że pisał go administrator budynku, który w wolnych chwilach zajmował się dość dziwnymi sprawami, dającymi się określić jako kulturalno-oświatowe. Znajac jednak formalny angaż tego człowieka widzimy że w jego pracy, którą sam udokumentował w dzienniku, było po prostu czegoś za dużo, a czegoś za mało, a jeszcze czegoś zupełnie brak. Za dużo było prac administracyjnych i biurowych, za mało merytorycznych z zakresu upowszechniania kultury.

Widoczna jest fasadowość celów statutowych i dominacja działań, które niewiele mają wspólnego z upowszechnianiem kultury. Są one zwykłą ludzką reakcją na zaobserwowaną sytuację typu: pękła rura, załatał piwnice, wzywają na zebranie. To już nie jest korygowanie statutu przez życie, ale akceptacja, zgoda na nieprawidłowość funkcjonowania instytucji.

Wiadomo, że tak nie powinno być, że kierownik GOK-u (nie używajmy szumnej nazwy „dyrektor” wobec skromnej osoby, która często stanowi całą załogę tej gminnej instytucji) powinien przede wszystkim, jak i samego jego tytułu wynika, zajmować się



Fot. Waldemar Stepień

kulig, który planujemy na jutro. Dziewczyny się pracami organizacyjnymi. Mnie przypada w udziale załatwienie części „gastronomicznej”. Wykpiwam się przeto w sposób następujący: zapraszam na kulig kierowniczkę tutejszej restauracji, a przy okazji nadmieniam, że mamy kłopoty z prowiantem. I już wszystko mam z głowy. Dzwonię do szefa ZSMP (z sąsiedniej gminy — Z. K.) i porozumiewamy się co do tego, gdzie się oba kuligi spotkają, oraz sporządzamy program „ogniska”.

Wieczorem z młodzieżą montujemy program na ognisko (w ramach akcji „z dobrym słowem do sąsiadów”).

Na drugi dzień autor dziennika zanotował:

„Kulig nam trochę nie wypalił. Nie dopisali organizatorzy konnych sanków, w wyniku czego zmuszeni byliśmy jechać nyską do lasu. Poza tym nie spotkaliśmy się z młodzieżą (z sąsiedniej gminy — Z. K.) ze względu na opóźniony wyjazd. Jedną wielką

ukierunkowywaniem prac upowszechnieniowych w kulturze i samą tę kulturę upowszechniać w mniej więcej znany i uznany sposób. Nie można, oczywiście, zupełnie wykreślić obowiązku troszczenia się o warunki lokalowo-techniczne pracy, ale to naprawdę powinien być epizod w działaniach kierownika.

Jest wiele przyczyn tego stanu rzeczy. Jedną z nich, którą tu wymienię wcale nie żartując, to fakt posiadania przez GOK-i budynków własnych. Gdyby mieliśmy się „kątem”, to ich kierownicy nie mieliby problemów administracyjnych. Tak jest w gminie Strzyżewice. Druga przyczyna to fakt, że budynki użytkowane przez GOK-i dalekie są od doskonałości technicznej, a w czasie eksploatacji ciągle wymagają ingerencji jakiegoś rzemieślnika. Są też inne uwarunkowania, tkwiące w psychice pracowników GOK-ów.

Podobne zjawisko obserwowałem dawniej w powiatowych domach kul-

tury. Ich kierownicy z upływem lat pracy stawali się coraz lepszymi administratorami budynków. Coraz lepiej znali się na remontach, sposobach zdobywania materiałów budowlanych, angażowaniu rzemieślników budowlanych, a coraz mniej na kierowaniu placówką i pracach w zakresie upowszechniania kultury. W powiatowych domach kultury było jednak liczna kadra instruktorska i od biedy miał kto zajmować się statutowymi zadaniami tych instytucji.

W niejednej gminie oprócz budynku gminnego ośrodka kultury są lokale użytkowane przez szkołę, gminny ośrodek zdrowia, urząd gminy i inne instytucje. W każdym z nich od czasu do czasu trzeba oszkląć okno, wymienić zamek, odnowić elewację itp. To nie są prace wymagające kwalifikacji z zakresu medycyny, kultury czy oświaty. Ktoś może to zrobić ze znanostwem spraw remontowo-budowlanych administracyjnych. Więc może by powstała taka wspólna administracja budynków gminnych instytucji?

A może inaczej; są rejonowe ośrodki kultury, niektóre z nich mają na terenie swego działania kilkanaście budynków, w których mieszczą się gminne, miejskie i wiejskie placówki. Może więc właśnie przy rejonowych ośrodkach kultury zorganizować dział obsługi technicznej i świadczyć usługi w tym zakresie terenowym placówkom kultury? Nie można na pewno akceptować tego, że jeden pracownik z dwuosobowej załogi merytorycznej GOK-u około 60 proc. czasu pracy angażuje, w sposób niekompetentny, w remonty budynku i naprawy urządzeń.

Tyle uwagi poświęciłem tym nieprawidłowościom w funkcjonowaniu placówki kultury, bo sądzę, że powinna ona mieć jakieś znaczenie dla wsi, dla gminy, dla ludzi mieszkających na jej terenie. Znaczenie w zaspokajaniu potrzeb kulturalnych, takich, jakie są. Sądzę, że ludzie zatrudnieni w tych placówkach powinni coś robić, co sprzyja wzrostowi tego znaczenia. Zarówno jedna, jak i druga z wyżej opisanych obserwacji wskazują na to, że znaczenie GOK-u dla mieszkańców gminy jest nijakie, a ludzie odpowiedzialni za to robią wszystko, żeby utrzymać tę nijakość, albo ją jeszcze pogłębiać. Nie ma podstaw do tego, by sądzić, że wieczer „desantowy” był jakiś szczególny, że opisane w dzienniku 54 dni pracy dyrektora GOK-u przypadły na wyjątkowo okres. Tak mniej więcej wygląda codzienność tych placówek. I w gminie wszyscy się z tym godzą? Nikomu to nie przeszkadza, nie uwiiera? Ani mieszkańcom, ani władzy? Nie było jeszcze z terenu ani jednego sygnału, że gdzieś GOK jest zamknięty, że nie przestrzega się godzin pracy, że panuje — delikatnie rzecz ujmując — nieporadność w organizowaniu zajęć dla mieszkańców i z mieszkańcami wsi. A wiadomo, że nie przemilcza się takich spraw w stosunku do instytucji, które mają dla ludzi jakieś znaczenie.

Jakie znaczenie dla gminy ma ośrodek kultury? Przykład pierwszy: odrestaurowano w Wojciechowie zabytkową wieżę. Trzeba było znaleźć użytkownika tej budowli, który zadbałby o jej utrzymanie i jakoś wykorzystał pomieszczenia, więc zlokalizowano ośrodek GOK w wieży. Czy Wojciechów pragnął GOK-u? Raczej nikt go o to nie pytał. Od kilku lat wojciechowianie poszukują dla siebie na własną rękę znaczenia tej nowej instytucji. Są w tym poszukiwaniu niecierpliwi i niespokojni. Dochodziło do niebezpiecznych konfliktów między dyrekcją GOK-u, a częścią wojciechowian. Do dziś placówka nie została w pełni zaakceptowana. Część klubowa na parterze zdaje się uznano, a to po przeniesieniu ze spalonej gospody części alkoholu, który się tu sprzedaje między innymi produktami.

Przykład drugi: zbliżała się inauguracja roku kulturalno-oświatowego. Puchaczowscy strażacy kończyli akurat remizę, a właściciel wyjątkowo okazał dom strażaka. A ponieważ dobrze jest organizować inauguracyjną imprezę w nowoorganizowanej placówce, w budynku zlokalizowano GOK. Od początku było to źródło kłopotów gminy. Miejscowi inicjatorzy inwestycji dokładnie wiedzieli, jakie znaczenie ma mieć dla nich ten obiekt; chcieli dysponować odpowiednim pomieszczeniem na organizowanie zabaw i wesel. Nowe znaczenie, sugerowane przez statut GOK-u było zbyt zawile, jak na konkretne myślenie gospodarzy budynku, dlatego w umowie o najem umieszcili klauzulę o zabawach i weselach. GOK ze statutowymi obowiązkami miał znaczenie dla organizatorów inauguracji; dla miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej i nie tyl-

ko — raczej nie. Świadczy o tym wspomniana klauzula, nikt uczestnictwo mieszkańców Puchaczowa w pracach GOK-u, związane z tym ciągle zmiany pracowników i inne sprawy.

Przykład trzeci: kilkanaście lat temu w Ostrowie Lubelskim oddano do użytku budynek, w którym do dziś mieści się Gminny Ośrodek Kultury. Tymczasem złośliwi zaczęli rozpowszechniać wersję o jednym z byłych pracowników wojewódzkiego wydziału kultury, że postawił sobie pomnik w Ostrowie. Złośliwych nie brak, a bliższe prawdy jest, że ów pracownik, kierując się szczególną sympatią do Ostrowa i sądząc, iż dom kultury będzie miał duże znaczenie dla obywateli miejscowości i jej okolic, całym sercem zaangażował się w realizację tego trudnego przedsięwzięcia i wiele wysiłków bezinteresownie w nie włożył. Od początku jednak widać było, że ostrowianie nie pragnęli tego szczęścia. Przez wiele lat trwali w stanie nieustającej wojny z tą placówką, knuli intrzygi wokół jej pracowników, bojkotowali program i dewastowali pomieszczenia i sprzęt. Ostatnio coś się zaczyna zmieniać na lepsze. Oby nie były to tylko pozory!

Początki wielu GOK-ów były takie, że ktoś z zewnątrz upatrywał ich znaczenie dla wsi. Ale czy można uszczęśliwiać wieś nie pytając się jej mieszkańców, czy ten prezent ma dla nich sens?

Gminne Ośrodki Kultury w Jastkowie, Garbowie i kilku innych gminach powstały w związku ze wzrostem wojewódzkiej aktywności, nastawionej na rozwój sieci terenowych placówek. Więcej terenowych placówek to wyższe notowanie województwa na skali krajowych statystyk, to wzrost poczucia „wojewódzkiej” niezbędności dla terenu oraz więcej organizowanych szkoleń, konsultacji, opiniowania, dofinansowywania, wizytacji i lustracji.

A co ma z tego wieś? Jakże to ma znaczenie dla mieszkańca gminy? Widocznie niewielkie, jeżeli nie zauważa on nawet, że gdzieś budynek GOK-u jest zamknięty, a gdzieś indziej otwarty, ale nie się tam nie dzieje, co mogłoby go zainteresować.

Czasem GOK jest potrzebny miejscowej władzy, ma dla niej określone znaczenie: „przydałby się u nas GOK, ja nie mam czasu zajmować się kulturą, a referent też sam sobie z tym nie poradzi”. To są słowa naczelnika jednej z podlubielskich gmin. I bardzo dobrze. Naczelnik gminy powinien mieć też specjalistę od kultury, tak jak ma do oświaty, rolnictwa czy zdrowia. Nikt jednak nie zdobył się na szczerą rozmowę z naczelnikiem, ani z tym, ani z innym i nie zapytał, czy chce mieć ośrodek kultury z rocznym budżetem około stu tysięcy złotych (bo tyle mniej więcej przyznaje się na początek), z której to sumy około 60 proc. pójdzie na placę dla dyrektora, instruktora, księgowej i sprzątaczkę — a ci nim się rozejrzają w pracy to już rezygnują z niej — 20 proc. na utrzymanie budynku, 10 proc. na opał, 5 proc. na opłacenie rachunków za światło i telefon, a to, co zostanie, czyli około 5 proc., na działalność — tak bardzo oczekiwaną przez naczelnika.

Tak przecież eksploatuje się budżet w wielu GOK-ach!

Nie znaczy to jednak wcale, że tak musi być. Mogłoby się przecież zdarzyć, że w szczerą rozmowę obie strony — wojewódzka i gminna, reprezentowane nie tylko przez władzę — wy kalkulują z tych stu tysięcy złotych oraz gminnych potrzeb i gotowości współdziałania jakiś ośrodek kultury, który będzie miał znaczenie dla miejscowych ludzi. Może taki, jak w Borkach, a może taki, jak w Strzyżewicach, a może jeszcze lepszy. Jeśli jednak nie uda się taka kalkulacja, to trzeba mieć odwagę i jeszcze na jakiś czas zrezygnować z GOK-u. Nie tworzyć urzędzenia, które w zasadzie służy tylko do przemiału pieniędzy i denerwowania ludzi. Bo u nas nie ma zwyczaju likwidowania GOK-ów. Jak powstanie, to wszyscy robią wszystko, żeby istniał. Niedawno pytano z Urzędu Gminy w Fajslawicach, jakie formalności należy dopełnić, aby w miejscowości powstał GOK. Pomysł podobno zrodził się w młodzieżowej organizacji, a jeśli to prawda, to może powstanie pierwszy GOK, który od początku będzie miał oparcie w lokalnej społeczności, będzie miał dla niej znaczenie. Miejmy nadzieję. Nie miejmy jednak złudzeń, bo jeżeli młodzi fajslawiczanie nie wejdą w rolę gospodarza nowej placówki, to sam pomysł zorganizowania GOK-u, choć doczeka się realizacji, rychło podzieli los innych placówek o nijakim znaczeniu dla gminy i jej mieszkańców.

Zdzisław Kłosowski

# oko-lice sztuki

## Fatum nad „Arsenałem”

**B**UDYNEK „Arsenału” w Białymstoku, zaraz obok głównego korpusu pałacu Branickich — bardzo to ładny obiekt i trudno nawet dziwić się przedsiębiorstwu konserwacji zabytków, że zaraz po postawieniu go na nogi próbowało wejść na pokoje w roli gospodarza. Nie udało się „Arsenal” trafił w ręce właściwe, które zresztą w znacznym stopniu przyczyniły się do podjęcia i szczęśliwego zakończenia remontu budynku przy ul. Mickiewicza. Biuro Wystaw Artystycznych, bo o nim mowa, nareszcie, po latach wegetacji i prowizorek, mogło podjąć działalność w pomieszczeniach wręcz idealnie dostosowanych do urządzania ekspozycji kameralnych, przede wszystkim malarskich i graficznych, co nie znaczy, że ograniczonych pod względem liczby prac. Na parterze obiektu otwarto ponadto bibliotekę z czytelnią, na piętrze — biuro instytucji oraz Zarządu Okręgu ZPAP. Znalazło się też miejsce na magazyny, a wiadomo, jak ważne są takie pomieszczenia w działalności wystawienniczej. Krótko mówiąc Białystok zdobył się na taki obiekt, jakiego może mu pozazdrościć wiele miast wojewódzkich w kraju.

Najważniejsze przy tym, że umiejętnie wykorzystano ów dar polityki kulturalnej, wspartej obywatelską troską i niecierpliwością środowiska plastycznego. To właśnie „Arsenal” umożliwił znakomicie szersze niż dotychczas eksponowanie twórczości miejscowych artystów, wcześniej przedstawiających się w salach tyle przypadkowych (nie licząc Klubu MPiK), co urągających ambicjom autorów, oraz sprowadzanie do Białegostoku wystaw wybitnych na ogół malarzy czy grafików z różnych ośrodków kraju: z Warszawy, Krakowa, Łodzi, Gdańska, Wrocławia, Poznania, Lublina... Nie będę cytował listy artystów, którzy prezentowali się w „Arsenale”: jest zbyt długa. Powiem tylko, że wylaniający się z niej garnitur pasowałby na najlepszą okazję.

Kiedy na dodatek zbudowano w mieście trzy okrągłe pawilony wystawiennicze o dużej kubaturze — było to w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych — Białystok stał się nieoczekiwanym ośrodkiem najlepiej bodaj w Polsce wyposażonym pod względem techniki ekspozycyjnej. W praktyce okazało się przecież, że ten mały obiekt wcale nie przekracza możliwości organizacyjnych BWA, że właściwie był czymś oczekiwanym i potrzebnym. Rzecz w tym, przypomnę, że Białystok jako jedno z pierwszych miast w kraju podjął inicjatywę plenerów malarskich, lokalizując je w Białowieży, oraz rzeźbiarskich, które uruchomiono w Hajnówce 15 lat temu. Od tych pierwszych spotkań o zasięgu ogólnopolskim, przekształconych z czasem w międzynarodowe, w magazynach BWA zgromadziło się wiele cennych dzieł, autoryzowanych przez najwybitniejszych artystów. Z konieczności długo leżały one w magazynach, lub krążyły po województwie w niewielkich zestawach popularyzujących sztukę współczesną. W pełnej swej okazałości mogły wystąpić dopiero w

momencie otwarcia wspomnianych pawilonów.

Tam właśnie BWA urządziło galerię bez precedensu: malarstwa współczesnego (w jednym z obiektów) oraz grafiki (w drugim). Niedawno w obu „spodkach” ulokowano ok. 30 rzeźb, wypełniając nimi sensownie centralne partie rotundowych przestrzeni. Jakże BWA w Polsce może pochwalić się tak sugestywną, wartościową i elokwentną atrakcją plastyczną? Zadnie!

Ktoś jednak w mieście wpadł na pomysł, że jeśli się tu dodało, to tu można odjąć. No i zaczęła się sprawa „Arsenału”, czyli przekształcenia jednego z pionów budynku (parter, piętro plus magazyn) na stałą galerię rzeźb pewnego znanego artysty, specjalizującego się w portrecie i pochodzącego z Białegostoku, a obecnie mieszkającego aż w stolicy. Swego czasu wprowadzono trochę jego rzeźb do jednej sali „Arsenału”, później stwierdzono, że to tylko tymczasowa sprawa, obecnie władze kulturalne województwa postanowiły zaanektować cały pion budynku, aby umieścić w nim na stałe owe liczne „głowy”. Wszystko jednak wskazuje na to, że przed podjęciem owej decyzji nikt jakoś nie poszedł po rozum do własnej głowy, nie zastanowił się nad społecznymi i artystycznymi konsekwencjami manewru. Wypada mu zatem wyjaśnić, że:

— ulokowanie rzeźb, często okazałych, w niskich salach „Arsenału” pozbawi je siły sugestii, zuboży artystycznie, sponiewiera moralnie;

— zabranie BWA sali ekspozycyjnej poważnie ograniczy możliwości działania tej instytucji, czego absolutnie nie zrekomensuje ewentualne urządzenie wystaw indywidualnych malarstwa i grafiki w trzecim ze „spodków”, opuszczonym właśnie przez teatr lalkowy, ponieważ jest to przestrzeń za duża, do wypełnienia wymagająca 70–80 obrazów, na co stać w praktyce tylko artystów w wieku emerytalnym;

— realizacja pomysłu doprowadzi do utopienia w błocie przynajmniej kilkudziesięciu tysięcy złotych, już wydanych przez BWA na plakaty, zaproszenia i katalogi wystaw zaplanowanych w nieszczęsnej sali „Arsenału”;

— odebranie sali będzie swoistym wyrazem braku zaufania do białostockiego środowiska plastycznego, które, przypominać, nie tylko moralnie przyczyniło się do remontu „Arsenału”.

Zwracam uwagę na tę sprawę z zaangażowaniem, bo i autor rzeźb jest artystą godnym najwyższego szacunku i problem można by, przy odrobinie zrozumienia dla specyfiki twórczości i ruchu artystycznego, łatwo rozwiązać: przekształcając odzyskany właśnie „spodek” w stałą galerię prac owego rzeźbiarza. Byłaby to doprawdy imponująca ekspozycja.

IJK

Kamena str 5

# DROGOWSKAZY

W naszej ankiecie „Drogowskazy” zabiera dziś głos kierownik Zakładu Chemii Fizycznej UMCS, prof. dr hab. Andrzej Waksmundzki.

## ANDRZEJ WAKSMUNDZKI

**N**IE miałem łatwego życia — we wczesnej młodości zmuszony byłem pomagać w gospodarstwie, bo ojciec był na wojnie, później przez osiem lat dochodziłem do gimnazjum (7 km dziennie), studia na UJ prawie o własnych siłach, następnie okupacja i praca w konspiracji na szczeblu powiatu, z kolei — obóz koncentracyjny (trzy i pół roku), a po powrocie — budowa i organizacja od podstaw dwóch katedr w Lublinie, co nie należało w tym czasie do zadań prostych.

Wychowałem się na wsi podhalańskiej w bardzo trudnych warunkach materialnych, a równocześnie w surowej atmosferze obyczajowej. Tam wpojono mi zasady: obowiązkowości, rzetelności pracy, otwartości postępowania, umiłowanie ziemi oraz poczucie honoru. Tam nauczyłem się wytrzymalności i zaradności w przewidywaniu napotykanych trudności.

Nie miałem wzorów do naśladowania. Uroki wiedzy pokazali mi moi nauczyciele począwszy od szkoły podstawowej oraz literatura, w której się zaczytywałem.

Po ukończeniu studiów chemicznych zostałem asystentem i zacząłem rozpoznawać teren nauki, zgłębiając nie bezkrytycznie jednak (zgodnie z maksymą góralską „przełożonego szanuj, ale se swoje myśl”) dotychczasowe osiągnięcia w zakresie chemii i powoli dochodziłem do rozeznania, na czym polega sposób naukowego myślenia.

I na tym polu obowiązują te same zasady, co na roli, z tym jednak, że w nauce trzeba umieć postawić własny problem, mieć koncepcję, którą w naukach przyrodniczych trzeba dalej poprzeć wynikami doświadczalnymi.

Motorem działania jest poznanie prawdy — odkrywanie nieznanego, które musi się dokonać w nieskrepowanej atmosferze. Dochodzenie do prawdy nie przebiega jednak prosto jak po nitce do kłębka. Mało kto wie, że postęp nauki często przebiega zakosami i może czasem zapędzić się w ślepią uliczkę. Ale i to stanowi szczebel do dalszego postępu.

W naukach przyrodniczych trudno w pojedynkę mieć osiągnięcia. Trzeba w tym celu stworzyć zespół ludzi, u których należy wyrobić zainteresowanie tematem, umiłowanie pracy, stworzyć atmosferę życzliwości i wzajemnego zaufania. Obok walorów umysłowych dla rozwiązywania problemów ważne jest zaangażowanie serca i duża wewnętrzna dyscyplina jak również kontrolowana, ale nie hamowana inicjatywa każdego z pracowników. I to też nie wystarczy jeśli pracownik w obecnych czasach nie dysponuje precyzyjną aparaturą. Jeśli te czynniki zostaną spełnione to zawsze można liczyć na dobre wyniki pracy.



Waldemar Dras

## CMENTARZ WIEJSKI

Słyszemy kroki za skałą.  
Słyszemy serce, groźbę serc.  
Widzimy białych pasterzy na wczesnej łące.  
Idziemy, ślady z wosku.  
Idziemy, omijamy ich domy wśród drzew.  
Wiemy kto mieszka.  
Wierzymy, słońce i dym.  
Idziemy. Nad stawem trzeszczy kra;  
Ponad tobą  
Mówiącym z ziemi.

## ZJADANIE WISNI

Stoły ciepłe.  
Dębowe dziewczęta ostrzegają kamienny świat  
Przed radością wieczoru, pocałunek skłóconych  
Braci.  
W mroku skrzyń i soków  
Wiśniowe oczy rozpoznają starca  
Pochyłego nad sennym jeźdźcem, który przybył  
I płonący las przemawia w jego imieniu:  
Przez uśpioną wieś zimowe gwiazdy przetacza.

Tam deszcze osłuchane.  
Tam noże we krwi hydłcej stygną.  
Tam ostre kości dla psa, płukane w strumieniu.  
Tam skargi umarłych przed burzą.  
Tam suknie kobiet, księgi weselne.  
Tam pieśni z ogrodów świątecznych, o świcie.

O, stoły ciepłe!  
O, misy lepkie!  
Czyż nie czujecie moich chłodnych palców  
Whitych w owoce, w cisze plastycznych uniesień?  
Kamienny świat śmiertelnym otacza was cieniem.

Artur Daniel Liskowacki

## Z DALEKA

mówimy do siebie z daleka  
z tak daleka że słowa muszą być ciężkie  
jak kamienie żeby do nas dotarły

z tak daleka że nasze marzenia doczekały się  
wnuków a my sami wciąż bierzemy się  
za kogoś innego

musimy przekrzykiwać śnieg  
każdej kartki i często pytanie dociera do nas  
później niż odpowiedź

widoczność jest mała  
oczywistość niewielka  
nie jestem nawet pewien czy mnie słyszysz  
kiedy milezę.

Eugeniusz Mitaszko

## ODDECH DON KICHOTÓW

czy jeszcze don kichoci błądzą  
po łąkach kwitnących wiatrakami  
z obrazem pachnącej duleynej  
na przenośnym ekranie żrenie

gdzie upada w południe ich gwiazda  
na jaką szklaną górę wspina się ich koń  
pod jaką skryci są przyłbicą  
jaka im susza wargi pali

Boże zmiel swoje dumne niebo  
w wiatraku dnia w codzienny chleb  
skrzydła w ruch wprawiaj ich oddechy  
bo gdy błądzili — oddychali

**W**YDAJE mi się, że wreszcie poznałem ten sposób myślenia, który rok temu stanowiąc jedną z przyczyn ogólnego zaskoczenia nagłym atakiem zimy. Któż z nas w tamte dni nie twierdził, że dobrze wiadział, iż zima zaatakuje, a tylko tajemniczy „oni”, bo nie my przecież, zagapili się i zgnusili w optymizmie? Sam zwałam winę na „nich”, pamiętam, choć byłam świadkiem ugrzęźnięcia pod Lublinem czterech plugów śnieżnych w ciągu pół godziny. Obsługa, a więc kilku z „nich”, walczyła wtedy twardo z zaspami i śnieżycą, i w końcu doszedłem do przekonania, że to nie ci tutaj, ale jacyś „inni” zawalili sprawę. Taka była w on czas maniera, aby „ich” szukać wszędzie nie podejrzewając, że „oni” to po prostu my sami.

Ow sposób myślenia poznałem w drodze do Huty Katowice, ale już podczas bieżącej zimy. Autobus zwany „lux”, wyruszył z Lublina na długą trasę w mroźny poranek. Śnieg zaledwie prószył, niewinny i leniwy. Dopiero dwadzieścia kilometrów za miastem okaza-

w lubelskiej prasie o LHS, o tej drodze biegnącej wszak przez nasz region wprost do Huty Katowice; od lat Janusz Świąder nadał je z Białej Podlaskiej PAP-owskie wiadomości o kolejnym transporcie „cygara” z radziecką rudą, jadącą przez Małaszewicze wprost do Huty; od lat nasze wsie żegnają młodzież, podążającą TAM przemieniać się w klasę robotniczą; oglądamy relacje w telewizji, słuchamy i czytamy o Hucie Katowice, ale ciągle podejrzewamy w głębi ducha, że ten gigant, moloch, ten olbrzym rośnie na drugim krańcu świata, gdzieś pod Katowicami, obok Dąbrowy Górniczej, Ząbkowic. Gdzieś w przemysłowej Polsce. Daleko.

Autobus przemierzał już nie tak luksusowo, już spokojnie, po naszym, tę kraje, gdzie przecież leży Pińczów, w którym nieodmiennie dnieje, a w olbromskoolkuską szosa miast wskazywać bliskość wielkiej huty, niosła nas w kraj cichy i wiejski. Az nagle wąska droga wpadła na odcinek E-22 Kraków — Katowice i nasz autobus z samotnej podróży przez

hutników”. Ale tamtego dnia nie skończyło się ani budowanie samej Huty, ani tego wszystkiego, co jest dookoła niej.

Jeśli ktoś, kto nie widział Huty Katowice, zechciałby wraz z reporterem zachłysnąć się wielkością tego giganta, niech wyobrazi sobie ogromną „industrię”: rozległą połać ziemi pełną rur, transporterów, dróg, szyn, budowli betonowych i stalowych, piece oczywiście, kominy, niech zaufa dziennikarskim relacjom, że to wszystko jest olbrzymie, a drugie tyle znajduje się pod ziemią. Nie należy krępować wyobraźni, trzeba ją swobodnie rozwinąć — proszę: tu aglomerownia, tu wielki piec, tu drugi, walcownia zgniatacz, bloki podające tlen, kotły wytwarzające parę itd. Już? Teraz więc, kto tego nie widział, musi uwierzyć, że rzecz jest znacznie większa niż sobie wyobraził.

Jeśli przyjedzie się do Huty Katowice w dzień tylko nieco mglisty, to spod bramy wejściowej nie da się zobaczyć wielkich pieców, tak stoją daleko. Jeśli natomiast oglądać ją będziemy nocą, powiedz-

Częstochowy i Kiele i jadą tłumnie na wesela, które urządzają się „w domu”, a nie tutaj. Tworzą dookoła Huty życie nie całkiem inne od tego, w którym wzrastali. To tam, przy piecach i konwertorach, jest ono twarde, na zewnątrz czasem rozmięka jakby, zwalnia. W sklepach niekiedy tak samo, jak u siebie w gminie, znużone ekspedientki ledwie dostrzegają klienta. Panią z kanapką w jednej ręce i ogórkiem kiszonym w drugiej podaje kupującej bluzkę z półki. W innym magazynie pani za ladą przywołuje koleżankę, bo nie ma pojęcia, czy „na sklepie” jest towar, o który pyta klient. Dąbrowa Górnicza to jeszcze nie Katowice. Na ulicy natomiast nikt nie jest zdziwiony, gdy pytasz o jakąś przecznicę, dom, urząd, sklep. Nikt od pytającego nie ogania się byle jakim: „prosto, a potem w prawo”. Nie tłumaczą chętnie, dokładnie, życzliwie, doradzają, jak jechać jednym autobusem, drugim, jak iść tędy, lub tamtędy. Sami byli w sytuacji błądzących rok temu, dwa, pięć lat wstecz. Jak każdy lud wędrowny chcą pokazać, że już wrośli, że znają miasto, że nie są obcy.

W święta, w wolne soboty chętnie wracają w swoje strony, ale o hucie mogą opowiadać bez końca — własne przeżycia, anegdoty, historie jeżące włos na głowie, zwłaszcza z okresu wielkiej budowy. Dyrektor będzie opowiadał, jak robotnik, o blocie i chłodzie; robotnik opowie, jak dyrektor, o ministrach, delegacjach zagranicznych, o eksporcie. Podśmuchałem, że nawet gdy krytykują i marudzą między sobą, na zewnątrz mówią o kombinacie z dumą.

Na co dzień dookoła Huty brakuje białostockiej czy lubelskiej ciszy, lasów, spokoju przed zachodem słońca, wizyty sąsiada trochę po nie, trochę z nawyku. Tu zbyt wiele jest czekania na swoje i zbyt blisko ono jest, aby trwać w bezruchu — awans, mieszkanie (pierwsze lub większe), samochód, miejsce w przedszkolu dla dziecka itd. Dużo jest do zdobywania i stąd potrzeba żywszego ruchu. Wywołaniem stamtąd wrażenie, że tworzący kombinat — budowlani, hutnicy i ci pracujący dookoła Huty — zyskują naukę, że nie można liczyć, iż ktoś za nas odwali robotę. To nie jacyś „oni” budują dobrze, lub zawałają plan — to my sami, wszyscy. Tutaj panią za ladą, chodząca jak śnięta, nie uchwala się długo. Tutaj, gdy kierowca autobusu „lux” umyśli sobie ominąć przystanek w Dąbrowie Górniczej, robotnik z Huty w ten sam dzień robi „piekło” dyrektorowi PKS.

Tym razem nie zaproponuję czytelnikowi zadziwienia na okoliczność twardego hutniczego domagania się o swoje. To akurat nie wyłącznie katowicka specjalność na szczęście. Ale przyznać trzeba, że coś w tym jest. W przedzjazdowej dyskusji nad Wytycznymi — widać wyraźnie inny od „pomimo — empirycznego” sposób myślenia. Wynotowuję tylko z jednego numeru „Głosu Huty Katowice”: „Walcownicy należycie wywiązują się ze swoich obowiązków. Znacznie gorzej wygląda sprawa spełniania ich oczekiwań. Zbyt długi jest okres wyczekiwania na mieszkanie” (starszy mistrz T. Romanowski). „Muszą koniecznie zostać poprawione warunki mieszkaniowe w hotelach pracowniczych” (przew. RZ Budostal-4, W. Bednarski). „Marnuje się za wiele materiałów. Taka sytuacja jest nie do tolerowania na dłuższą metę” (A. Koczyński, brygadzieta). „Jest szereg przyczyn niewykorzystania środków sprzętowo-transportowych, które wynikają z niedostatecznego jeszcze poziomu organizacji pracy” (A. Jurczak, I sekr. KZ PZPR, Budostal-4). To wypowiedzi krytyczne, ale w tym samym numerze tygodnika przypomina się z dumą: „podczas trzyletniej eksploatacji Huty nie zanotowano praktycznie żadnej reklamacji eksportowej”.

...Choć autobus z Lublina do Huty jedzie jedną trzecią doby, to nie leży ona znów aż tak daleko...

# DOOKOŁA HUTY

Zronisław Kowalski

to się, że będzie to opad systematyczny, bardzo powoli zamieniający szosę w sannę, a nasz autobus w psujący się gruchot. Ale i wtedy prywatna dobra nadzieja podpowiadała, że ten i ów może nie dojedzie, ugrzęźnie, ale nie nasz autobus przecież. To jest właśnie sposób myślenia, który nazwę optymizmem pomimo — empirycznym. Nazwa na szczęście tak samo niezręczna, jak i samo myślenie, otóż to. Bierze się zeń kiepska ubezpieczeniowa polisa od przeskód, gdyż według omawianych mniemań trudności dotkną wszystkich, lecz nie nas.

Czegoś tam jednak nie douczyliśmy się po ubiegłej zimie, bo gdy „lux” zepsuł się definitywnie, ledwo dowlókszy swe cielsko do Kraśnika, nikt z pasażerów nie wybuchnął świętym oburzeniem, że płaci się inaczej niż jedzie. W Kraśniku duży jugosłowiański sanos zamieniony został na mniejszy polski autosan, który nie miał bagażnika ani dostatecznej liczby miejsc siedzących. Nowy kierowca orzekł, że jemu nie zależy i może wcale nie jechać, jeśli podróżnym nie odpowiada stłoczenie wśród stert waliz i wykorzystywanie kilku „miejsc stojących”. Odpowiadało nam. Pojechaliśmy. Dalszy ciąg pomimo — empirycznego myślenia podpowiadał, że jeżeli stało się już jedno zło, drugie pewnie się nie zdarzy.

Cel mojej podróży, czyli Huta Katowice, uświęcał środki, którym było stanie przez pół drogi na jednej nodze.

Z Lublina jedzie się autobusem do Katowic malowniczą trasą. Wybrano drogę z dala od dużych miast i szerokich nawierzchni. A więc trafia się na Annopol, Opaków i wypoczynkowe Busko-Zdrój, by dalej toczyć się przez sielską — wiejską Kazimierz Wielką i potem na północ, z daleka mijając Kraków, poprzez Skalbierz, Mielchów do Olkusza. Jest to wycinek kraju o wielce sentymentalnej gospodarce, której „industrialnym” przejawem są liczne tory wąskotorowej kolei. Jakby rezerwat ciuchci. Kto nie tłuł się tamtędy przez przejazdy na waziutkich szynach, niech sprawdzi na mapie sieci krajowych kolei.

My w Lubelskiem możemy sobie wpisać do rejestru przemian ostatnich lat wielkie przedsięwzięcia inwestycyjne, zmieniające nasz krajobraz, ale — nie urażając niczyich uczuć — bliższa nam ta ziemia wąskotorowych kolejek, wsi między wierzbnami, lasów, w których giną szosy, starych zamków na wzgórzach i pół okrojonych miedziami, niż krajobraz wielkiego przemysłu. Od lat reporterzy piszą

zimowo senny krajobraz włączył się w lawinę aut. Szosa rozdzieliła się na dwa pasma, przedzielone trawnikiem, a po kilku minutach jazdy pojawił się w oddali tajemniczy ciąg świateł na horyzoncie: od jednego skrajnie widnokregu do drugiego biegł rząd oświetlonych okien. Jak wielki, olbrzymi pociąg stojący za wysoko, nad ziemią, nie realnie. A może gigantyczne osiedle małych domków?

Po prawej stronie szosy co kilkadziesiąt metrów — drogowskaz do Huty Katowice. Mnóstwo tych drogowskazów, jak by Huta była nie jedna, ale wielokrotna. Co chwilę droga w bok, gdzie w mroku mającej w przestrzeni cienie przemysłowych konstrukcji, ale dalekie, odległe. W naszym pejzażu każdy z tych drogowskazów wskazywałby coraz inną wieś, o innej nazwie, lecz tu ciągle jeden napis: „Huta Katowice”. A przed nami zbliżający się dziwny i niezmiernie długi świetlisty wąż. Przejchaliśmy pod nim. Okna to były raczej iluminatory, jeden przy drugim. Nie w domkach, lecz w stalowo-betonowej konstrukcji na słupach, ukrywającej za ścianami kilometrowe transportery, przenoszące rudę do Huty z bazy wydobywczej — ostatniego punktu na trasie LHS. Potem opowiadać mi będą inżynierowie, jak trudno zsynchronizować przebiegi poszczególnych odcinków taśmy transportera, by były precyzyjnie jednostajne, równo niosące rudę. Każda niedokładność powoduje zwałowiska przy końcu jednej i początku drugiej taśmy. Kontrolują jej bieg komputery, ale ludzie muszą kontrolować elektronicznie.

Na razie jednak nastąpił w podróży ostatni przypadek pomimo — empirycznego myślenia. Oto kierowca z Kraśnika, pierwszy raz jadący do Katowic, nie wiedział, które ma prowadzić. Niektórzy z pasażerów, przyznający się przedtem, że bywali już tu nieraz, także stracili orientację. W rezultacie nasz „lux” trzy razy zawracał na dwudzielnowej szosie, krecąc się w pobliżu Dąbrowy Górniczej i nie mogąc do niej trafić. Kierowca znów orzekł, że mu nie zależy i może tak jeździć do północy. Zgubił się biedak i zdeorientował całkowicie. Przy czwartym nawrocie wysiadłem na chybił-trafił. Okazało się, że byliśmy już tuż obok Dąbrowy Górniczej, ale widziałem jak kraśnicki „lux” pojechał w mrok z powrotem do Olkusza. Gdzie i jak zawrócił do Katowic, już nie wiem.

Nieco ponad trzy lata temu, 14 grudnia 1976 r., Huta Katowice stała się faktem w naszym przemyśle: o godz. 9.09 popłynęła pierwsza struga stali. O dniu owym stokrotnie napisano, że był „uwiecznieniem ogromnego wysiłku wieloletniej rzeszy budowniczych i

my spod Ząbkowic, to ujrzymy w oddali tzw. świeczkę, czyli gazowy wieczeni płomień nad hutą. Ten ogień, widoczny z daleka, w rzeczywistości ma kilkadziesiąt metrów wysokości. Wypalają się nadmiary gazów, znak, że stal się „gotuje”. 10 grudnia ub. r. o godzinie 8.18 z drugiego konwertora dokonano spustu dziesięciomilionowej tony stali. Zostało odnotowane, że był to 926113 wytop, a gatunek stali UST 37-1.

Dookoła Huty Katowice powstały nowe miasta. Najbliższe z nich, Dąbrowa Górnicza, nie zmieniła w ciągu ostatnich lat tylko nazwy. Poza tym wszystko. Ci pracownicy kombinatu, którzy najdłużej tu mieszkają, pamiętają jeszcze, że gdzieś dziś stoją bloki mieszkaniowe i bloki hoteli pracowniczych (to zresztą jedno i to samo, bo te drugie z czasem przestają być hotelami), ongiś były osiedla domków parterowych, bud drewnianych, obejmująca gospodarskie ciche i zaozdle, jak to zwykle na przedmieściach. Jeszcze rok temu można było takie same posesje spotkać po drugiej stronie Huty, ale ich żywot był krótki. Wszędzie wdarły się szosy dojazdowe i tramwajowe szyny. Nowe bloki buduje się szybko. W ciągu kilku lat oddano 7 tys. mieszkań, a obecna pięcioletnia przyniesie mieszkania 10 tysiącom rodzin pracowników kombinatu.

Gdy byłem rok temu w Dąbrowie Górniczej, osiedle hoteli pracowniczych (osiedle im. Kasprzaka) widniało w terenie jako zbiorowisko samotnych bloków. Po kilkunastu miesiącach na tym terenie przybyły nowe magazyny odzieżowe, meblowe, sklepy spożywcze, poczta apteka itd. Nowe bloki zaczęły wyrastać po drugiej stronie jezdnii. Ale jeszcze pozostało wrażenie krajobrazu „kścieżycowego” — kosztą szybkiego budownictwa. Domy są podobne, jota w jota. Już posadzone drzewka i krzewy, wykonano trawniki, place zabaw dla dzieci, lecz wciąż tu surowo i nawet brzydtko. Tam, gdzie hotele zamieniły się w zwykłe domy mieszkalne, jest nieco przytulniej, bardziej mięjsko. Tu jeszcze wciąż trwa zagospodarowywanie. Najwyraźniej widać to było wieczorami — w hotelach pracowniczych nie błyszczały w oknach lampki choinek. Domy stały wymarłe w święta i w Nowy Rok, ciche, puste. Ich mieszkańcy wyjechali w Krakowskie, Kieleckie, Lubelskie, na Pomorze, rozjechali się po całym kraju. Uplynie jeszcze rok, dwa nim tu zostaną z rodzinami na stałe.

Huta przyciąga wciąż nowych ludzi. Już teraz po to, by przy niej zostawali, ale lud tu jeszcze wędrowny. Wyrwali się ze wsi i z małych miasteczek. Przed świętami wsiadają w pociąg w kierunku

# Od defilady do dialogu

Dokończenie ze str. 1

skórce przekonała się pewna wespół z cześnią grupą teatralną, której zachęcało się działać pod patronatem Zakładów Azotowych.

Puławski Teatr Amatorów powstał w 1949 roku przy świetlicy Powiatowej Rady Związków Zawodowych, a więc w momencie wyjątkowo sprzyjającym twórczości nieprofesjonalnej. Z ruchem amatorskim wiązano wówczas wręcz przyszłość naszej kultury artystycznej, helubiono jego animatorów, wspierano materialnie, transportowano ciężarówkami i autobusami do miast wielkich i małych, do wsi i osiedli, na festiwale centralne i wojewódzkie. Dbało przy tym, aby skład socjalny takich zespołów był zgodny z duchem epoki, dzięki czemu w puławskich inscenizacjach „Przyjmujemy o 8.30”, „Rewizora”, „Drogi do Czarnolasu” czy „Takiś czasów” pojawiali się aktorzy — robotnicy obok działaczy społecznych i politycznych. A ponieważ wiele obiecywano sobie wtedy po dydaktycznej funkcji teatru, wciągano doń też bikiniarzy i inny niesforny element.

W owym okresie scena puławska miała chyba najliczniejszą i najbardziej wziętą publiczność. W scenarii kulturalno-społecznej niewielkiego miasta każde bez wyjątku przedstawienie było świętem, celebrowaną okazją do wzruszeń, śmiechu i łez, wyprawą poza granice monotony w końcu codzienności. To był teatr dla publiczności — z natury miejsca i czasu. Co prawda aktorzy z tamtych lat z największym sentymentem wspominają same próby, wewnętrzny przygodę kreacyjną zespołu, ale obiektywnie rzecz biorąc najważniejszą sprawą była chyba premiera. Trudno wyobrazić sobie inną sytuację w teatrze wyraźnie podzielonym na dwie części: scenę i widownię, na dających i odbierających, na — było nie było — fachowców i kibiców. Zresztą kierownikiem, reżyserem, wrażliwym scenografem i w ogóle spiritus movens puławskiego zespołu był wówczas przedwojenny oficer saperów, Zbigniew Kędzierski, człowiek potrafiący kierować ludźmi i przygotować ich do scenicznej defilady przed frontem puławian.

Pierwsza sztuka wystawiona przez Puławski Teatr Amatorów to „Frydland junior” B. Winawera w reżyserii Kędzierskiego. W przedstawieniu wzięli udział: A. Stowikowska, M. Wolski, M. Lenartowicz, H. Sienińska, Orowiecki, S. Węgrzyn, M. Kapyś, A. Jalocha, H. Kędzierska. Spektakl podobal się publiczności tym bardziej, że w antrakcie przygrywała orkiestra, zgodnie ze zwyczajem sprzed pierwszej wojny światowej.

W tym samym 1949 roku wystawiono jeszcze „Most” Szaniawskiego w reżyserii, naturalnie, Kędzierskiego. A panie z Ligii Kobiet uszyły w czynie społecznym zasłony na okna i trochę przyodziewku, wcale nie wzorując się na podobnych pracach, wykonywanych niegdyś przez damy z Kola Ziemiannek. Widownia była pełna.

Mechanizmy społeczne, które napędzały ruch amatorski od 1949 roku, po kilku latach zacięły się jednak i w rezultacie wiele teatrów pokrewnych puławskiemu zniknęło z powierzchni powiatowej ziemi. Zespół Kędzierskiego ostał się jakoś, a wystawiona przezeń w 1959 roku „Balladyna” poszła przed publicznością aż kilkanaście razy!

Po pewnym czasie repertuar teatru nabrał przecież dwuznacznej pojemności: obok sztuk Szaniawskiego, Rydla, Morstina, Anouilha, („Skowronek”) czy Durrenmatta („Fizycy” w 1965 r.) coraz częściej zaczęły pojawiać się w nim „Bajki dla dorosłych”, „Coctails literackie”, „Szopki Sylwestrowe” oraz „Kabarety — nr 1, 2, 3” według tekstów opracowanych przez szefa zespołu i z muzyką T. Sochackiego. Czy więc teatr stracił serce do dramatu, do sztuk wieloobsadowych, wymagających jakiegoś takiego opanowania warsztatu?

Odpowiedź prowadzi w innym kierunku i jest właściwie banalna: przez takie a nie inne układania repertuaru scena puławska próbowała dostosować się do nowej sytuacji w kulturze, narzuconej rozwojem telewizji, która odebrała amatorom piękną rolę jedynej w mieście i okolicy kreatora sztuki teatralnej, dostarczając wprost do mieszkań wartości pierwszorzędnej nierzadko jakości i stępując zarazem potrzebę kontaktów międzyludzkich typu „twarzą w twarz”. Ponadto — to już lekka

specyfika — na Puławę spadła wielka inwestycja przemysłowa, która wzbogacając miasto, wprowadziła w jego granice tysiące obcych i zfermowała tradycyjne więzi społeczne, modele zachowań, skale aspiracji. Jeśli teatr miał się utrzymać na powierzchni tego klębowiska, musiał „pójść w kabarety”, bo tylko taka forma — wypowiedzi o tutejszej codzienności, przyprawionej dowcipem — gwarantowała mu pewne zainteresowanie ze strony publiczności, na którym tak bardzo przecież zależało zespołowi. Jakiś wpływ na linię repertuarową teatru miała zapewne także i hossa ogólnopolska na kabarety, zainicjowana przy końcu lat pięćdziesiątych.

Jubileusz 30-lecia Puławski Teatr Amatorów obchodził w poczuciu, jak to się mówi, dobrze spełnionego obowiązku, ale bez wyraźniejszych perspektyw na przyszłość, którą zaciemniał fakt odejścia z zespołu Zbigniewa Kędzierskiego. Chyba nikt wówczas w tym środowisku nie zdawał sobie sprawy, że wycofanie się tego człowieka ze sceny oznacza koniec pewnego obszernego rozdziału w dziejach teatralnych miast, otwartego jeszcze za Czartoryskich. Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie księżka krwi sprzed dwustu niemal lat, a gdzie były oficer saperów o zacięciu teatralnym? Nie, nie o takie tu analogie czy różnice chodzi, rzecz w tym, że przez owe dwa stulecia, z dużymi naturalnie przerwami, mniej lub bardziej sprawnie wystawiano w Puławach przede wszystkim dla publiczności, dla ludzi z drugiej strony rampy, przed którymi rekonstruowano wybrane fragmenty rzeczywistości.

Po roku 1969 teatr puławski zaczął działać na dwóch płaszczyznach: tradycyjnej, oznaczonej m. in. premierą „Wilków w nocy” T. Rittnera, oraz takiej, jaką zaproponował Marian Wolski, nowy reżyser zespołu, człowiek od początku związany z tą sceną, liczący dziś 59 lat.

Kiedy wychowankowie Kędzierskiego mówią: „Grajmy dla ludzi”, Wolski odpowiada: „Grajmy to, co nas interesuje”. I bierze na warsztat teksty Mirona Białoszewskiego, m. in. „Pamiętnik z powstania warszawskiego”, aby wraz z córką Katarzyną, świetną recytatorką, zbudować z nich

wyjątkowo sugestywne „Requiem dla szarych emigrantów” (1972) — którym nie interpretuje cudzych kwestii, ale wyraża swoje przekonania i emocje.

Kiedy wykonawcy ze starej szkoły myślą o tym, jakby tu zaskoczyć publiczność inscenizacją, Wolski opracowuje monodram poetycki „Pamięć” oparty na biblijnej „Katedrze Hioba” i „Drugim szczęściu Hioba” Anny Kamieńskiej, intonując teksty na warty melodyki pieśni chasydów, co daje przedziwną zbitkę kulturową.

Reżyserował kilka sztuk z repertuaru dramatycznego, występował w nich także („Król IV” St. Grochowskiego), ale dopiero do „Emigrantów” S. Mrożka przystąpił, jak sam twierdzi, z własnej chęci, nakłoniony do tego wieloznacznością tekstu, jego moralną problematyką oraz faktem, że „rzecz nie była jeszcze dobrze zagrana w Polsce”. Partnerował Wolskiemu Ryszard Stępień, uzdolniony recytator debiutujący na deskach Puławskiego Teatru Amatorów.

Wolski twierdzi, że ma „takie swoje zajoby”, które może realizować na scenie, a zaraz potem cytuje Junga, Freuda, Elada i Fromma. I żali się, że na różnych festiwalach, warsztatach i seminariach teatru amatorskiego dyskutują z nim dopóty, dopóki nie dowiedzą się, iż w cywilu jest głównym księgowym — Pszczelińskiego Zakładu Doświadczalnego. Na dodatek ubiera się wzywającą precyzyjnie w jakiejś kombinacji ortolionu z watołina. A czy taki „model” może być artystą, choćby nieprofesjonalnym?

Wolskiego nie interesują inscenizacje, gierki warsztatowe, rozbudowane scenografie. Uważa, że istotą teatru jest aktor — człowiek próbujący autentycznie określić się wobec problemów moralnych świata, szukający klucza do współczesności poprzez analizę mitów, będących doświadczeniem ludzkiego gatunku. W tym, co robi, w sztukach, które opracowuje szuka przede wszystkim sensu, znaczeń. To już nie jest hobby, zabawa kostiumowa, to jest działalność wymagająca odwagi cywilnej i ugruntowanych przekonań.

Puławski Teatr Amatorów liczy dziś tylko ok. 10 osób przy czym najmłodsza z nich ma 23 lata. W zespole nie ma już robotników, jest natomiast jeden docent. Ale miasto chwali się liczną grupą dobrych i młodych recytatorów sprawdzonych w poważnych

## W KRAJOBRAZIE SŁÓW

### Współczesny język martwy

Zygmunt Mikulski

Bo pan Jourdain-Kowalski nie mówi. Jan Jourdain-Kowalski zdaje egzamin z poetyki współczesnego języka kolokwialnego opartego na tym „intymnym” przy pół czarnej tonie, który jest bon-tonem wywiadu, dyskusji, kącika w BWA. Jak młodzież ma swój dyskotekowy slang tak środowisko inteligentkie konwersacyjny argot.

Na czym on jeszcze polega? Bo nie tylko na tej elastyczności, wynikłej z troski o maksimum zwrotów konfunktynnych, jakby powiedzieć coś jednoznacznie, to pozbawić się całej masy interesujących podtekstów. Polega jeszcze na przeciąganiu wypowiedzi, kiedy jest na wyczerpaniu treści. Mamy więc „to piękno, które znajduje się w krajobrazie, w pejzażu polskim, które tkwi w urodzie naszej ziemi”, „retrospekcję, powrót w przeszłość, spojrzenie w stronę czasu minionego tak ważne u tego autora”, „czynny i aktywny stosunek do rzeczywistości wytwarzający szczerą i niesklamana postawę prawdziwego humanisty”.

Paradoks: słowo współczesne puchnie. Wyrażano kiedyś opinię, że językiem przyszłości będzie perforowana taśma, tymczasem jesteśmy świadkami zjawiska przeciwnego: autoteliczności słowa, które traci funkcję konstatacyjną, rozluźnia związek ze znaczeniem, staje się czymś dla siebie. Najpierw mówi, później powiedzieć — że też nie wpadli na to starożytni.

Nie wpadli i później. Kiedy się

czyta teksty np. siedemnasto-, osiemnastowieczne, ani śladu tego stylistycznego konwensu, który jest liturgią bez religii, etykietą bez etyki, futerałem bez instrumentu. Nie musiało być źle nawet z grandilokwencją Gongory, skoro zdobył się na uznanie dla niej sam Przybysz, znany pasjonat maksymalnej kompresji środków wyrazu.

W obiegu znajduje się tyle sztonów. Popatrzmy. „Zwiększyło się pole manewru”, to i to stało się „doświadczalnym poligonem”, coś innego „roznożyło się” ten i ów „się sprawdził”, tu i tam przeprowadzono „przymiarkę”. Jedno „nakładają się” na drugie, trzecie „zderza się” z czwartym, piąte jest „na styku” z szóstym. Różnica nigdy nie bywa duża, zawsze jest „stosunkowo duża” nawet wtedy, kiedy nie jest z niczym porównana, warunki atmosferyczne nie są znośne, muszą być „w miarę znośne”. A problem? Wystąpił z brzegów. „Celem tego przedsięwzięcia jest problem uzyskania większej wydajności”. Mimo to — nie do wiary — jest coś, co go bije na głowę: aż dziw, że dopiero teraz wyrwana ze słowikowej drzemki „formuła”. „Znaleźliśmy formułę dla naszego teatru”, „powstaje nowa formuła krążenia dóbr kultury”, „na formułę tego sukcesu złożyło się solidne przygotowanie”. W dodatku każdy z użytkowników tych oklepianych brzęczątek jest święcie przekonany, że wprowadza do języka nowe i jakże wyjątkowo — w tym właśnie zastosowaniu —

trafne sformułowanie. Ile przy tym wewnętrznego krygowania się, ile przeproszenia za oryginalność! Niemal słychać: „Jeśli państwo pozwolili na ryzykowną metaforę, porównałbym kobietę do kwiatu”.

A podobno wszystko współczesne zmierza do funkcjonalności, konkretyzacji, redukcji akcydentaliów. Czy może wszystko z wyjątkiem mody i języka inteligencji? Jeżeli nie napawa entuzjazmem perspektywa rozmawiania kodem matematycznych symboli, to musi zdumiewać żywotność wciąż nie wyczerpanej pożytki dla tych breloków, fiksaturów, na chrypcę wyciskanych fioritur. Dla tego tapinowania mowy we fryzjerniach kameralnych (przed kamerami) wywiadów.

To w ulotnej fopii. Co zaś na szpaltach?

Zdawałoby się, że co jak co, ale wolny od tych sztampek będzie język literacki pisany. Literacki, więc przeciwny naśladownictwu, pisany, więc nie wymagający wypowiedzi ex promptu. Tymczasem recenzja wycina stylistyczne szlagiery aż miło.

Na przykład recenzja ze zbioru poezji. Czy będzie tam mowa o wierszach? Będzie mowa o „propozycjach” i „realizacjach”. Jakby pisać wiersze to nie wyznaczać swojego stosunku do świata, ale szukać sposobu wejścia na rynek. Czasopiśmienniczy, wydawniczy, czytelniczy. Szukać nie miejsca na ziemi, ale pozycji w cehu. Nie autor wobec rzeczywistości, ale autor wobec autorów — oto klucz recenzentkiej piosenki.

Przynajmniej jednak lojalnie, że „realizacja” i „propozycja” zaczynają powoli wychodzić z użycia. Szumiały wokół poezji lingwistycznej, a ta jakby przycicha. Ale „liczący się” i „znaczący” bryluje dalej. Gdybyż przynajmniej była to stylistyczna nowalijka, która recenzent jeszcze się nie nacieszył. Tymczasem jest to dowcip z brodą Ma-



konkursach więc Puławski Ośrodek Kultury mający mecenasa teatru — próbuje wprowadzić ich na scenę. Zaangażowano już dwóch recytatorów, którzy organizują teatr poezji i satyry. Premierowe przedstawienie ma nosić tytuł „Program za 1 złoty” i mówić „o pieniądzu, cywilizacji, moralności i społeczeństwie idealnym”, jak to określił Andrzej Wojciechowski, jeden z animatorów zespołu, który w przyszłości chciałby wyjść z teatrem na ulice Puław. Dyrekcja Ośrodka zastanawia się ponadto nad możliwościami uruchomienia amatorskiego studium recytatorskiego czy teatralnego, które prowadziłby m. in. Marian Wołski. Nie chodziłoby przy tym o kształcenie półzawodowców, szycujących premierę za premierą na użytek mieszkańców Puław co raczej o skupienie ludzi wokół pewnych spraw i problemów prowokujących do teatralnej ich ekspozycji, czy nawet tylko do wspólnej nad nimi debaty. „Teatr amatorski widzę jako miejsce spotkań i samorealizacji jego uczestników”, mówi Wanda Meler-Mejnar-towicz, dyrektor Puławskiego Ośrodka Kultury.

W takim teatrze zaciera się granica między sceną a widowiskiem, publiczność wypada ze swojej konwencjonalnej roli. Inna sprawa, że sami aktorzy z satysfakcją mówią o frekwencji, jaka towarzyszyła przedstawieniom („Emigranci”, „Pamięć”, komedia „Jutro pogoda” A. Hopwooda) przygotowanym przez Puławski Teatr Amatorów na swoje 30-lecie, obchodzone w listopadzie minionego roku. Ostatecznie bowiem żaden teatr, nawet najbardziej osobisty, klanowy czy absolutnie nieprofesjonalny nie może obyć się bez konfrontacji z otoczeniem społecznym. Banal? Jasne, ale wart przypomnienia.

Puławska scena istnieje realnie już ponad 30 lat (50 premier), ponieważ potrafi dostosowywać się do zmian, które zachodzą w kulturze (nie tylko teatralnej). A może także dlatego, że nigdy nie wystawiała pozycji z żelaznego repertuaru amatorskiego i nie ujawniała sentymentów do taniego regionalizmu. Teatr traktuje się tu poważnie, ale też bez prowincjonalnego zadęcia na wielkość.

Są w Polsce teatry amatorskie znacznie starsze od puławskiego. Faktycznie, są: dzięki dotacjom urzędowym i szkołom spędzającym na przedstawieniach — ilustracje do lektur bardzo obowiązkowych...

Ireneusz J. Kamiński

hometa. Popatrzmy na daty artykułów z „Linii i gwaru” Przybosa. A zresztą, co tu straszny broda, jakby sama dzisiejsza częstotliwość nie wyrobiła sztampie wystarczającego stażu. „Dajcie mi parę frazesek, bo chcę coś powiedzieć” — tak brzmi wołanie dzisiejszego recenzenta.

Statystyczny Kowalski mieszka w M-3. Ale pan Jourdain-Kowalski w 3-M. Jak futuryści. Tamci mieli „Miasto, Masę, Maszynę”, ten „Modę, Manię, Manierę”. Wszeczwładne, nie do ominięcia. Bo raptem się okazuje, że nie było Stanisława Ignacego Witkiewicza, był Witkacy. Powstał w Polsce masowy pojaw bliskich znajomych autora „622 upadków Bunga”. Lwia część piszących o nim czuje się zobowiązana do tej konfidencjonalnej formy. „Czystej formy” nie zabawnej zabawy. Gdyby tylko w anegdotach, dykteryjkach, lepszym kalibrze. Ale skąd. W artykułach, rozprawach również. Ta praktyka tak weszła w krew, że już nikogo nie razi i nawet niniejsze rekryminacje wydają się dziwaczne. Mimo to powstała nie na innej zasadzie, niż ta: dziesięć powieści, jedenasty nie może być gorszy. 3-M.

Czy ten i ów z przytoczonych zwrotów nie wykaże się celnością, a nawet oryginalnością? Czy wszystkie zasługują na prohibicję? Uchowaj Boże i strzeż od grzechu przeciw życiu języka. Ale co innego przysiąc dany trop, a co innego posłużyć się nim jak prefabrykatem. Co innego uznać jego przydatność, a co innego mechanicznie powtarzaniem prototyp utłuc na stereotyp. Kiedy „kierunkowa realizacja problemu stymuluje kwestię zaplecza”, język nie żyje. Kiedy „semiotyczny rozrzut wyznacza pole lirycznych napięć”, język nie żyje. Moda, Mania, Maniera współdziałały w dziele zmierzającym do tego, aby powstało zjawisko osobliwe z osobliwych: współczesny język martwy.

## ROZMOWA Z ARTUREM SANDAUEREM

# Robię to, co lubię

Krzysztof Janisz: Co najważniejszego zapamiętał Pan ze spotkań z tubelskimi studentami i dość szeroko reprezentowanym środowiskiem literackim? O czym dyskutowano najgoręcej?

Artur Sandauer: Widać było, że są pewne nazwiska, które młodzież interesują. Pytano o Gombrowicza, żądano ode mnie pisania o nim studiów, mimo że napisałem ich już sporo. Widocznie istnieje społeczne zapotrzebowanie, żeby powstała książka o tym pisarzu, czy ja wiem. W każdym razie oczekują tego właśnie ode mnie. Poza tym zauważyłem, że moje niezbyt wielkie upodobanie dla poezji Grochowiaka napotyka na opór. Ma on sporo zwolenników, co oczywiście bardzo mi się podoba, dlatego że biada, gdybyśmy byli na temat poezji tego samego zdania.

K. J.: Czy to znaczy, że w krytyce literackiej istnieje lub może tylko zdarza się subiektywizm ocen?

A. S.: Nie, nie! Na pewno nie! Ktoś z nas się myli. Kto? — pokaże czas. Ale nie może być tak, że krytyk ma prawo być subiektywnym. Krytyk się myli albo krytyk ma rację. Natomiast większość ludzi stara się robić uniki, mówiąc: „No, to są jego osobiste sądy”. Nie. Ja mogę się mylić albo mogę mieć rację. Tak samo mogą się mylić ci, którzy to w tej chwili czytają. Ale to trudno rozstrzygnąć. Nie przypisuję sobie żadnych specjalnych praw. Jestem na takiej samej zasadzie czytelnikiem co inni. Jeżeli to, co w tej chwili mówię, przeczyta się za trzydzieści, czterdzieści lat, kiedy rozbiją się wszelkie układy społeczne, które podtrzymują lub negują danego pisarza, wtedy będzie wiadomo, jaka jest prawda. Nie mamy dzisiaj najmniejszych wątpliwości, że Mickiewicz był większym poetą od Odyńca. Gdybym tutaj zaryzykował tezę, że wielkim poetą epoki romantycznej był Odyniec właśnie, a nie Mickiewicz, sala by wybuchła śmiechem, wiedząc, że jest to obiektywny fałsz. Gdyby ktoś dzisiaj powiedział, że największym poetą okresu międzywojennego był Gałuszka, sala prawdopodobnie zareagowałaby tak samo. A zapewniam pana, że w roku trzydziestym drugim, trzecim, czwartym byli ludzie, którzy uważali, że jest to znacznie lepszy od Tuwima poeta.

K. J.: Jest to kamyzek, a nawet spory już kamień do ogródka polityki wydawniczej. I to wcale nie romantycznej czy międzywojennej. Jak to jest dzisiaj? Czy przypadkiem nie wzorem minionych epok?

A. S.: Oczywiście! Tego właśnie dotyczy moje studium. Wie Pan, tam mogą być różne sprawy. Mogą być koterie, mogą być znajomości, działają snobizmy. Na ogół sąd obiektywny ustala się, gdy walą się te sztuczne układy. Powiedzmy — Norwid. Nie było siły, żeby przekonać współczesnych, że mała do czynienia z wielkim poetą dlatego że istniał pewien układ. Widać to w Hetach Norwida. Trzeba, żeby właśnie ten układ ludzki się zawalił i przyszedł ktoś o świeżym spojrzeniu — w danym wypadku Mirjam — żeby to odczytał na nowo.

K. J.: Do niedawna na łamach „Polityki” ukazywały się artykuły, polemizujące z Pańskim studium, drukowanym w tym tygodniku. To, o czym mówimy, bezpośrednio koresponduje z duchem i literą tamtych wypowiedzi.

A. S.: Podstawową rzeczą u nas — jeżeli chodzi o krytykę — jest nieodpowiedzialność za słowo. Jak uzyskać tę odpowiedzialność? W ten sposób, że każde wypowiedziane zdanie należy popierać przykładem i odsyłać. W artykułach polemizujących ze mną, prawie nie znalazłem takich. A jedyny, który znalazłem, był fałszywy. Dotyczy to przykładu Andrzeja Lama, który wytknął mi nie cytowanie Harasymowicza — błędnie, ponieważ on zacytował swój wstąpił z wydania wcześniejszego, a ja swój

z innego — późniejszego i tym samym ważniejszego. A więc zarzucał naszej krytyce albo nieodpowiedzialność, albo świadome, bądź nieświadome fałszowanie prawdy.

K. J.: Dlaczego wystąpił Pan z tak ostrą krytyką naszego życia literackiego dopiero teraz? Musiał pan przecież znać sytuację dużo wcześniej. Czy było to czekanie na odpowiednio znaczący rozmiar swojego autorytetu czy może jeszcze coś innego?

A. S.: Nie Pan pierwszy mi to zarzuca. Dlaczego dopiero teraz? Raz — była po temu przyczyna zawodowa. Moja książka POECI CZTERECH POKOLEŃ rozrasta się powoli w historię pięćdziesięciolecia 1918 — 68, historię już dwutomową.

O Pańskich nie licząc pozostałych się jaworytów.

A. S.: No jednak, no jednak. Mówię tam życzliwie o Szymborskiej, o Białoszewskim i o Herbertcie. Z tym, że może zaskakiwać surowość moich sądów. To znaczy te wysokie progi, wysokie wymagania, do których nie przywykliśmy... — nie ja, oczywiście — do których u nas się nie przywykło, bo o literaturze mówi się bardzo łagodnie.

K. J.: A gdybym i o te nazwiska poprosił Pana?

A. S.: Typem krytyka łagodnego jest Wyka, jest Matuszewski. Jeżeli przeczyta Pan na przykład PRZEGLĄDY ROCZNICOWE Ryszarda Matuszewskiego, to Pan zobaczy, że on chwali wszystkich. Kto mu



Ta ostra krytyka jest niczym innym, jak wstępem do drugiego tomu. Więc po prostu trzeba było, aby narosła odpowiednia ilość moich artykułów, dotyczących poezji po czterdziestym piątym, aby okazał się konieczny wstęp. I on właśnie wywołał taką burzę. Proszę pamiętać, że cały ten olbrzymi artykuł zostanie dopiero naświetlony, gdy będzie figurował w książce jako wstęp.

A po drugie — przez lata wykladałem, przymierzalem się do tego tematu, nielutego, bo przecież są to setki, setki tomów, setki, setki artykułów. A wreszcie jest to — i tak chyba to zostało przeze mnie gdzieś tam w głębi duszy pomyślane — podsumowanie mojego życia krytycznego. Jest to taka druga moja BEZ TARYFY ULGOWEJ, bo jestem autorem takiego pojęcia.

K. J.: Tak, to była głośna kampania chyba u schyłku lat pięćdziesiątych. Ale dotyczyła wtedy prozy polskiej. Czy mam rację?

A. S.: Tak, tak. A ja mam chyba jakiś taki dar wywoływania skandali, choć zapewniam — nie jest to moim zamiarem. Byłoby najzupełniej fałszywe, gdyby ktośkolwiek uważał, że ja skandal chcę wywołać. On mi się sam wywołuje, po prostu. Przypuszczalnie dlatego, że ja nie tkwię w żadnych układach. Jestem człowiekiem spoza nich. Jestem samotny i dlatego może wolniejszy, inny, nie powiązany.

K. J.: Czy przy tym frontalnym ataku na...

A. S.: Ale to nie jest atak! Przepraszam, ale tu już Panu przerwę, bo ja przecież mówiłem na naszym spotkaniu, że jest paru poetów, których cenię i chwale.

K. J.: Właśnie o to chcę zapytać.

się naprawdę podoba, to poznać tylko po ilości wierszy, jaką mu poświęca. Natomiast tak zwane zjeżdżanie poetów z góry na dół, no to jest już jednak moja specjalność.

K. J.: Rozmawiam z Panem tak trochę w imieniu pokolenia dwudziestokilkuletków, którzy słuchając pana czują się zapewne nieco zaszczuci i tylko trochę mniej obalali od razów, niż pokolenie ich ojców. Dobrego zdrowia, ale — do następnego Sandauera. A na razie proszę o Pana odkrycia poetyckie w moim pokoleniu.

A. S.: No, wie pan, ja tak na chybił-trafił czytam poezję, że nie mogę być kompetentnym rzeczoznawcą. A to z tej prostej przyczyny, że zajmuję się jeszcze wielu innymi rzeczami. Ale co odkryłem ostatnio dla siebie? Poetę Barana, którego bardzo lubię, młodą poetkę gdańską, córkę zrzęszą dwójga poetów — Annę Janko. O, takie nazwiska rzucam na chybił-trafił, co nie znaczy, że nie ma innych zdolnych poetów, którzy uchodzą mojej uwadze. Pewnych poetów odkryłem po dwudziestu latach ich działalności. Zauważyłem np. bardzo interesującego poetę bydgoskiego Kazimierza Hoffmana, poetę krakowskiego Tadeusza Sliwiaka itd. Nie biorę na siebie odpowiedzialności za kompletność mojego wyboru. Jestem miłośnikiem poezji, amatorem, lubię dobry wiersz i tyle. Nie chciałbym uchodzić za zawodowca jestem wiecznym dyletantem. Po prostu robię to, co lubię, co mnie bawi. Takie byłoby moje samooczekanie.

# PROCES KATÓW MAJDANKA W DÜSSELDORFIE

## „Kobyła” załamała się w 369(!) dniu rozprawy

Na łamach zachodniemieckiego tygodnika „Die Zeit” ukazał się artykuł Dietricha Strothamanna na temat toczącego się w Düsseldorfie procesu katów z Majdanka. Proces ten trwa już piąty rok. Tytuł artykułu mówi sam za siebie: „Zaden z nas nie będzie śledził” („Von uns wird keiner sitzen”). Tekst drukujemy ze skrótami redakcyjnymi zwracając uwagę na charakterystyczne zdanie sprawozdawcy: „oskarżenia są przemocą psychiczną i fizyczną”. Niemniej — trzeba przyznać — relacja jest dość obiektywna, aczkolwiek sam proces obfituje w momenty, które urągają powadze sprawiedliwości.

**B**YŁ to 369 dzień rozprawy. Miał to być dzień szczególny. Był to Dzień, w którym proces „przeciwko Hermannowi Hackmannowi i innym”, krótko mówiąc — proces zbrodniarzy z Majdanka, wszedł w piąty rok. I, zupełnie nieoczekiwanie, był to również dzień, w którym jedna z oskarżonych po raz pierwszy zeznawała „na temat”, co oznacza, że do czegoś się przyznała. A tak oto do tego doszło:

Hermine Ryan, z domu Braunsteiner, lat 60, żona Amerykanina, nazywana „kobyłą” przez te, które przeżyły Majdankę, załamała się 368 dnia rozprawy. [...]

W ogromnej, niemal pustej sali rozpraw nr 111 w krajowym sądzie w Düsseldorfie była cisza. [...] Kiedy sędzia Bogen naciskał ją dalej pytaniami, przyznała w końcu także, iż uczestniczyła w rozładowywaniu „nadsyłanych transportów” — a zatem dokonywała selekcji, wybierała przeznaczonych na śmierć w komórce gazowej.

W tę czwartą rocznicę rozpoczęcia procesu zbrodniarzy z Majdanka nastąpił przełom, wprowadził tylko w wypadku jednej z dwóch oskarżonych, którym — wraz z siedmioma oskarżonymi płci męskiej — zarzuca się mord i pomoc przy dokonywaniu mordu w niezliczonej liczbie wypadków.

Jest to proces, który rozsada wszelkie ramy: wejdzie on do historii przewodów sądowych mających na celu ukaranie zbrodni narodowosocjalistycznych jako najdłuższy z tych procesów. Z dwóch lat — na tyle z początku sąd ocenił czas jego trwania — zrobi się co najmniej pięć (frankfurcki proces zbrodniarzy z Oświęcimia trwał, dla porównania, dwadzieścia miesięcy). Przejdzie też do historii jako najtrudniejszy, najuczciwszy proces tej kategorii — z blisko 350 świadkami, prawie 25 wyjazdami sądu za granicę, niemal 50 wnioskami o wyłączenie i taką samą liczbą wniosków dowodowych obrony, z 20 000 stron aktów przesłuchań wstępnych i 360, jak dotychczas, stronami protokołów sądowych; ze świadkami, którzy w czasie procesu zmarli albo z powodu choroby nie są już zdolni do stawienia przed sądem; z oskarżonymi, którzy nie chcą zeznawać, z próbami przewleknięcia podejmowanymi przez niektórych adwokatów; z przerywaniem procesu w związku z chorobami sędziów albo oskarżonych, ze stałym odkładaniem terminów na skutek braku podkładek, które trzeba było dopiero tłumaczyć; z odkładaniem rozprawy z powodu świadków z zagranicy, którzy się nie zjawiali albo których przesłuchiwanie tak bardzo się przedłużało, że inni świadkowie znowu musieli być odwoływani i zapraszani ponownie w innym terminie.

Proces zbrodniarzy z Majdanka często był procesem ... procesu. Historia przebiegu przewodu sądowego często całkowicie przesłaniała historię, która miała być rozpatrywana: zamordowanie 250 000 ludzi w latach 1942—1944, inne źródła mówią o milionie.

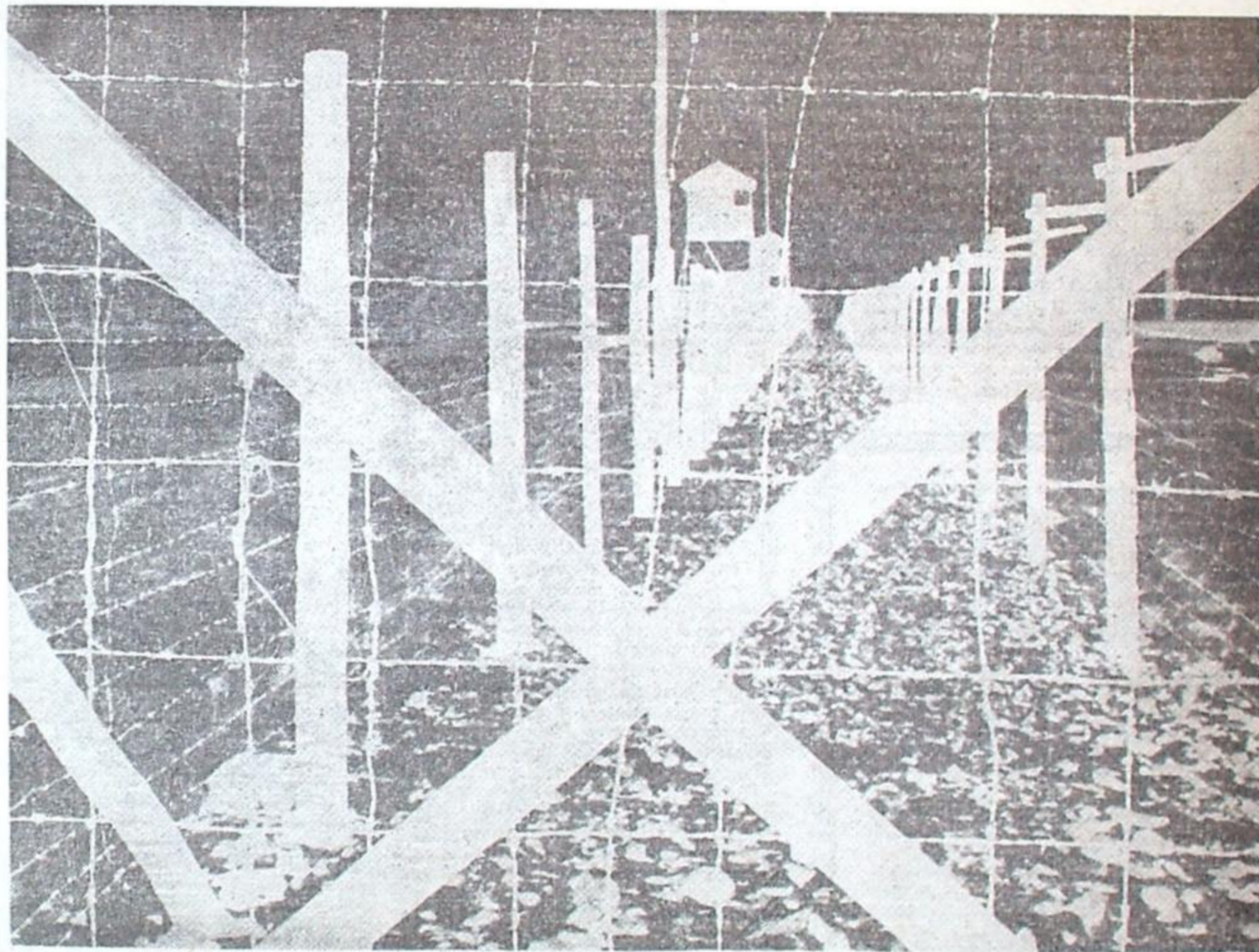
Niesamowite są liczby: z tej „rzezi” pod Lublinem — jak powiedział w procesie düsseldorfskim jeden z tych, którzy przeżyli — dostarczono 730 kg włosów ludzkich. Wojska radzieckie, które wywalały obóz na wiosnę 1944 r., znalazły 820 000 par obuwia oraz dowody osobiste ofiar 26 narodowości.

Nie do pojęcia jest także „dzień powszedni” w Majdanku: sześć komór gazowych „pracowało” przez całe lata, dzień i noc. Inne ofiary, przede wszystkim kobiety, dzieci i chorzy, były zabijane uderzeniami, duszone, wieszane, topione. Oskarżona Ryan została nazwana „kobyłą”, gdyż ludzie, którzy wpadli w jej ręce, zabijała kopniakami. Hildegarda Laechert, która siedzi w następnym rzędzie za nią, i przy konfrontacji z którą kobiety — świadkowie dziś jeszcze drżą, nazywano „krwawą Brygidą”, gdyż podobno zawsze od razu bila pejcem albo drą-

zwierzęta, chciał powołać lekarzy, którzy mieli zeznawać na temat odmiennych zapachów...

Jest rzeczą zrozumiałą, że wielu zagranicznych świadków — ofiar nie chciało, by ich wyrwano z zapomnienia przeżyć, że mylą wydarzenia, że wiedzą o niektórych zbrodniach tylko ze słyszenia, że mają luki w pamięci, albo nie mogą już w całości potwierdzić przed obcym, niemieckim sądem o odmiennej technice zadawania pytań, swoich pierwszych zeznań podczas odległego w czasie przesłuchania wstępnego, że dość często zapominają języka przy konfrontacji z rozpoznaniem oskarżonym i na nowo przeżywanym strachem. [...]

Ten proces jest pełen problemów. Jest to rozpaczliwa walka z czasem i z przypadkami. Przeszło trzydzieści lat po wydarzeniach większość oskarżonych jest w wieku lat sześćdziesią-



Z zestawu „Majdankę”

Fot. Andrzej Polakowski

giem tak długo, aż ofiara nie mogła się już ruszać.

Niewiarygodna jest również postawa niektórych obrońców w czasie pierwszych dwóch lat procesu. Ludwig Bock, który w 1977 r. dobrowolnie zrezygnował z roli obrońcy, i przeciwko któremu nawet wszczęto dochodzenie, zażądał opinii psychiatry na okoliczność popędu swojej mocodawczyni Laechert do zabijania, badań na temat „rasy żydowskiej w sensie biologicznym”, wysunął wątpliwości co do protokołu konferencji w Wannsee, na której pod przewodnictwem Heydricha ustalono ze wszystkimi szczegółami „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”; chciał spowodować aresztowanie na sali sądowej świadka — Żydówki z tytułu podejrzenia o współudział w zbrodni, albowiem musiała ona nosić do komór gazowych puszki ze śmiercionośnym cyklonem B. Albo też adwokat Hans Mundorf, który chciał wyłączyć rzeczoznawcę — historyka, był bowiem za młody i odbywał studia u żydowskiego profesora; aby zaś dowiedzieć, że w Majdanku palono rzekomo nie ludzi, lecz

ci, wielu świadków jest fizycznie załamanych; po 15 latach śledztwa, a obecnie już po czterech latach spędzonych w sali sądowej oskarżeni często są przemoczeni psychicznie i fizycznie; przy trzech dniach procesowych tygodniowo od listopada 1975 r. również sędziowie, którzy przeważnie prowadzą przewód w sposób rzeczowy, od czasu do czasu dochodzą do kresu sił. A końca jeszcze nie widać. Guenter Bogen pod koniec każdego nowego posiedzenia powtarza: proces będzie kontynuowany.

Czyżby zatem Ludwig Bock miał mimo wszystko mieć rację? I to nie tylko robiąc bezczelną uwagę zaraz po rozpoczęciu tego procesu-mamuta: „za dwa tygodnie będziemy między sobą”. Istotnie opinia publiczna od dawna milcząco i beznamietnie przeszła do porządku dziennego nad procesem zbrodniarzy z Majdanka. Ostatnio rzadko już na ławach widzów w sali nr 111 siadają całe klasy szkolne. Jeszcze bardziej przynębiające jest wcześniejsze stwierdzenie Bocka: „będzie przecież wystarczająco dużo po-

wodów do rewizji. Chyba że Federalny Sąd Najwyższy zatwierdzi wyrok; ale to w najlepszym razie w 1982 r.” Wtedy jednak, jak przepowiadał ten adwokat w kwietniu 1978 r. „oskarżeni nie będą już przy życiu, albo nie będą już zdolni do odbywania kary więzienia”. Jego mocodawczyni, „krwawa Brygida”, wykrzyknęła wtedy podobno z radością: „Nikt z nas nie będzie siedzieć”.

Czyż zatem cały ten wysiłek był daremny, czyżby wszystko — ogromna rzesza świadków, a także olbrzymie inwestycje finansowe (do dziś dnia około 15 mln DM) — poszło na marne? Czyż to wszystko było, jak się wyraził jeden z zainteresowanych, tylko „cyrkiem”, „tragifarsą”? [...]

Nazwa „Majdankę” po raz pierwszy pojawiła się w wyroku norymberskim skazującym na śmierć „generalnego gubernatora” Hansa Franka. Pierwszego sprawcę wymieniono z nazwiska w 1949 r. w procesie buchenwaldzkim przeciwko Arnoldowi Stripplowi. Z Polski prokuratorzy z utworzonej w 1958 r. Centrali w Ludwigsburgu przywieźli pierwszą listę z nazwiskami nadzorczyń, między innymi Herminy Braunsteiner, którą później udało się wytropić i odnaleźć w Queens Nowy Jork. Pierwsze dochodzenia skierowano przeciwko lekarzom z SS w tym obozie „aresztu prewencyjnego” i zagłady, którego dokumentacja została spalona i zakopana w ziemi przed likwidacją. A potem rozpoczęły się trudności z odnajdywaniem świadków. Dziś jeszcze oskarżyciele poszukują miejsca pobytu 25 więźniów, którzy przeżyli Majdankę, miejsce mordów. Być może zmarli już oni, a może żyją

AKZE krótka jest letnia noc! Zaledwie położysz się — już rano. Jeśli o mnie chodzi, to mógłbym jeszcze spać, ale jak tu wylegiwać się na sianie, kiedy Iwan zaprzęga konia — pojedzie z ojcem do Sławuty. A niech sobie jadą — myślę, ale jakże nie zleźć z siana i nie wyjść na pokryty rosą podwórek, skoro wczoraj matka powiedziała ojcowi: „Wywieź tego przekłętą złodzieja” — chodzi o mojego starego przyjaciela Mruczka — „do Sławuty, może do kogoś się przyplączę”.

Gdy wyszedłem ze stodoły, zrozumiałem, że za późno już przeszkodzić kategorycznej decyzji dotyczącej naszego szkodliwego kota. Ojciec siedział już na wozie, a Iwan właśnie wrzucał na tył wozu związany sznurkiem worek, w którym coś się poruszało, i sam wskoczył na wóz. Pozostało mi tylko pobiec za wrota i przez jedną — dwie chwile prowadzić ich wzrokiem, zanim nie skierowali się w stronę Sławuty.

Rozmyślając, jak to boleśnie utracić wiernego druha, przypomniałem sobie, że czeka na mnie mój żelazny bujnogrzywy konik.

Stał on w tym miejscu, gdzie go wczoraj pozostawiłem: w sady pod gęstą tarniną, w stajni z zielonych łopuchów. O konika jestem spokojny. Nie zagląda do dzbanów, pod nogami nie płącze się, w ogóle nikomu nie przeszkadza. Jedynie wywołuje zazdrość chłopców i dlatego chowam go starannie, bo nie ma większej straty w gospodarstwie niż kradzież konia — powiada ojciec. Dla pewności biorę konika ze sobą na ulicę, a tam moi rówieśnicy układają już program działań na cały dzień. Dopóki matka nie zawoła do siebie któregoś z nas i nie obali tych programów jedynym zdaniem. Dajmy na ta takim:

— Pobiegnij, synku, kup soli.

Tego rodzaju zlecenia już mi powierzają. W mgnieniu oka chwytam z sieni woreczek, miedzianego piąta i jak strzala mknę ku chatce starego Lejby. Zdarzało się, że matka mówiła: „Powiedz Lejbie, niech zborguje”.

— Dobrze mam, powiem.

Chatka handlarza Lejby tuż przy drodze, pomiędzy kościołem a cerkwią. Poznać ją już z daleka po zapachu nafty, dziegciu, smarowidła, śledzi i rzemieni, wspieranych zapachami innych różności, ale nie tak mocnymi, by przemogły te pierwsze. Wspólnie powstaje taka mieszanina zapachów, którą można określić krótko: sklepik starego Lejby. Lejba jest niezłolliwym, dobrodusznym człowiekiem. Pełnej postaci, siwy, z szeroką brodą do pasa i cichym głosem. Rad każdemu kto przekroczył próg jego kłitki pierwszy go witał słowami: „Mahajbi. Czego potrzebujesz?”. Swolch z Krywania znał wszystkich, od małego do starego.

— A, synku od Dawidów. Mahajbi. Wehodzi. Za czym przyszyła cię twoja matka Chotynia?

— Za solą, dziadziu.

— Więc daj no twój woreczek. — I rzuciła doń kilkakrotnie łopatką rudej wilgotnej soli, bez wagi.

— Pieniędzy, jak widzę, nie masz — mówi oddając woreczek.

— Mama powiedziała: na borg.

— Na borg, to na borg. Czy to nam pierwszyna. Przekaż ode mnie, aby zdrowi byli twoi porządni rodzice.

W naszej wielkiej wsi z pewnością nie było zagrody, do której nie zachodziłby stary Lejba upomnieć się o zborgowaną należność. Czynił to co rano, łącząc przyjemne z pożytecznym, chodząc po świeżym śniegu, czy po rosie, czy podczas deszczu. Domów we wsi nie zamykano i pukać do drzwi też nie umiano. I oto rankiem, jeszcze przed

wschodem słońca, zawiasy w sieniach skrzypną, a na progu Lejba. Im chatka mniejsza, tym większa rodzina. Lejba jeszcze na podwórku odgaduje, co może otrzymać od dłużnika i po przestąpieniu progu siennej chaty, po zwyczajnym „mahajbi”, powiada: „Nawet nie pytam, co u was słychać” — i idzie dalej, niczym wieczny zegar-budzik. Ale ludzie byli też dla niego dobrzy, splacali wszystko do grosza, gdy tylko kto miał możliwość.

Nieporozumienia zdarzały się jedynie z małymi urwisami, którzy podbierali kurze jaja w chwastach na piwnicy Lejby i przynosili je do sklepiku wymieniać na korki do straszaka, czy na lepiące się cukierki. Lejba kur miał dużo, ale nie wiedział, gdzie się nosiły. Pewnie i stara Lejbowna też nie wiedziała o tym. Była niezła i dobroduszną, jak jej mąż.

Do pomocy przy pracach domowych Lejbicha zapraszała wiejskie dziewczyny, wołając przez płot:

## JARMARK

Sergiusz Kozak

— Marysiu, przyjdź posprzątać w chacie, to dam ci ponosić w niedzielę chustkę w kwiatki — zachęcała Marysię, dziewczynę z naszego zakątka. Ta, naturalnie, gotowa była do każdej roboty, byleby w niedzielę w kwiecistej chustce wyjść na spotkanie z młodym żołnierzem z pogranicza.

I oto nadeszła długo oczekiwana niedziela. Na krywińskiej promenadzie, od parku do gromadzkiej rady, od cerkwi do kościoła, tam i z powrotem przechadzają się chłopcy i dziewczyny w różnych strojach, zależnie od zamożności rodziców. Marysia w kwiecistej chustce idzie ze swym piękniśm ze Smoleńska, odzianym w skórzaną kurtkę, w lśniące buty z ostrogami, w zielony kaszkiet z gwiazdką, i ze szczęścia nie czuje ziemi pod bosymi stopami.

Raptem w takiej chwili szczęśliwego oniemienia, jak grom z jasnego nieba brzmi ochrypło-przeciągłe zdradliwe wołanie Lejbowej:

— Marysiu, kiedy zwrócisz kwiecistą chustkę? Już wieczór.

O prostoto, prostoto! O młodości wstydliva, czyta i lekliwa! Jakże ciężko było ci, Marysiu, usłyszeć te słowa, ni stąd ni z owąd, rzucone przez płot przez starą Lejbową.

Stałaś cała czerwona, jak kwiaty na pożyczonej chustce chociaż udawałaś, że to nie do ciebie. Dobry i szczerzy twój przyjaciel także jakby ich nie usłyszał, ale jak i ty nigdy ich nie zapomniał.

Ale teraz zobaczmy, dokąd zdążyli w tym czasie zajechać ojciec z Iwanem, wtedy, gdy biegalem do sklepiku po sól.

Oto ich wózek. Jadą powoli, bo droga piaszczysta, koła głęboko grzęzną w wyjeżdżonej koleinie. Minęli niewielką wieś Kolomna i zbliżają się do Krupca, to już prawie połowa drogi do Sławuty. Już nie jeden wóz wyprzedził Siwka, ale ojciec go nie popędza. „Niech tam. Nie mamy nie do sprzedania, a jak kupimy konia to i my może kogoś wyprzedzimy” rozmyśla ojciec. Iwan raz po raz ogląda się na worek z kotem. Leży i nie rusza się. „Pewnie śpi” — myśli.

Minęli Krupiec. Tam, gdzie nad rzeczką mo-

stek, a wśród wierzb kryje się przed słońcem mały wodny młyn, droga wreszcie uwalnia się od piasku i wózek potoczył się żywiej.

Przebiegł tor kolejowy, co prowadził za Horyń do kolejowych kamieniołomów, a za pół godziny, na prawo Sławuta. Ładne to, powiem wam, miasteczko.

Nad Horyniem czerwienią się dachówką kryte dachy porządných, drewnianých budynków. Nad stawami, kaskadą schodzącymi nad Horyń, wierzb w ciepłej wodzie kąpią zielone warkoczki.

Z lewej, u stóp wzniesienia, w cieniu stuletnich klonów i sosen, za czerwonym, murowanym płotem budynku byłego majątku książąt Sanguszków. Teraz rozlokował się tu oddział wojsk pogranicznych, do którego należy i krywińska komendantura.

Minęli niewielką fabrykę sukna, młeczarnię, młyn, i brukowana ulica przywiodła naszych kupców na jarmark. W najbardziej ruchliwym miejscu, na dwu olchowych tykach widnieje szyld, przyciągający uwagę swym wielce obiecującym dla tak gorącego, znojnego dnia napisem: „Fabryka gazowanej wody”. Pod napisem wielka drewniana kadź, dokąd raz po raz donoszą na nosidłach wodę ze studni. Na oczach, spragnionych od słońca i jarmarcznych śledzi, nabywców, przyrządza się ten pożądany napój i sprzedaje w nieograniczonych ilościach tuż po tym, gdy jeden z trzech pracowników (jeden nosi, dwu sprzedaje) tego popularnego zakładu wrzuci do pełnej kadzi coś tylko jemu wiadomego, od czego zimna woda staje się czerwona, wtedy drewnianym wiosłem ją wymiesza i — gazowana woda gotowa.

Biorą ją ludzie na szklanki, kwarty, butelki, płacą grosze i chciwie piją chociaż woda nie gazuje. Iwan chciał także spróbować, ale ojciec odradził:

— Idź napij się ze studni. Tam czystszej.

Omińmy opis jarmarku, jak ominął go ojciec i Iwan, kierując wóz w stronę, gdzie handlują końmi. Koni jest dużo: różnej maści, różnej kondycji, różnego wieku i przydatności. Ojciec nie kwapi się jak w Ostrogu, bo wie, czego mu trzeba.

— Szukaj, Iwanie, żrebnej kobyły, i wypuść tego diabelskiego kota tam, gdzie więcej wozów.

Iwan zarzucił na plecy worek i powędrował między wozy. Z boku wydawało się, że niesie jakby prosie na sprzedaż.

— Pobiegł — rzekł do ojca Iwan, odnalazłszy go w gąszczu końskiego jarmarku.

— Kto pobiegł, dokąd?

— Kot pobiegł, o tedy — pokazał Iwan w stronę Horynia.

— Niech biegnie, niewielka strata.

Po godzinie wracali do domu. Obok Siwka, żwawo przebiegająca niepodkutymi kopytami gniada kobyła. Widać było po jej zaokrąglonych bokach, że naprawdę przyprowadzi wkrótce łoszątko. Zatrzymali się w Krupcu przy studni z żurawiem. Napili konie, napili się sami, i wtedy ojciec powiedział do Iwana:

— Pojedziemy, najpierw do Poterebów, wyzwolimy ze służby Jarynię i Tychona.

Jak orszak weselny matka powitała ojca z córką i synami.

Razem z nami witał ich także Mruczek, bo on już dawno przybiegł z jarmarku. Piętnastokilometrowy dystans ze Sławuty do domu pokonał przedzej aniżeli ojciec dwójką koni.

Przełożył z ukraińskiego Jerzy Piotrowski

Rozdział z powieści: „Nie spałem ja mam...” („Dnipro” Kijów).

Aleksander Twardowski

Tyś głupia, śmierci, dobrze wiemy;  
Grozisz swej pustki obszarami.  
Lecz nasz warunek: żyć będziemy  
I za twoimi wymiarami.

Za twoją wieczną mgłą bez głosu  
My tu — z żywymi — wspólne miano.  
Każdy jest twój z wyroku losu, —  
Lecz innej władzy ci nie dano.

Spleceni w swej solidarności,  
Wspólnie przeróżne dziwy znamy;  
Razem słyszymy się w wieczności  
I głosy nasze rozróżniamy.

I wy, żyjący dotąd bliscy,  
Wyście nie bez powinowactwa.  
Ci, których czcimy, z nami wszyscy,  
My, jak i oni, nie bez bractwa.

I, nawet przy najcieńszej nici,  
Między swoimi więź wiekowa.

Czy to, potomku, słuch twój chwycił?  
Druhu, potwierdzisz moje słowa?...

Przełożył Andrzej Cesarz

Jurij Kuzniecowa

## TRZYDZIEŚĆ LAT

Gdzie ty, chłopcze, szyderco i kpiarzu?  
Widzę we mgle twe jasne oblicze.  
Dziesięć lat oczekiwań, wojażu  
Na tej ziemi już chyba odliczę.

Zawsze twierdził:

„Trzydziestkę gdy minę,

Której przyjdzie nie mogę przeszkodzić,  
Palnę w leb, rzucę się pod maszynę...”  
Chciałeś, chłopcze, za młodu odchodzić?

Te życzenia wspomniałem i modły,  
Gdy trzydziestka odbiera ci siły...  
Jakoś twe pistolety zawiodyły  
I pociągi się twoje spóźniły.

Ponad brzemień chłopięcych zamierzeń  
Dałem jednak wolności pierwszeństwo.  
Choć mej księgi najlepszej brak zwierzeń,  
Lecz zamiarów wciąż trwa nabożeństwo.

Nie wymawiaj mi, ale żal się, chłopcze!  
Nic takiego; na inne lat ciągi  
Pistolety twe schowam, wędrowcze,  
I zaczekam na twoje pociągi.

Przełożył Andrzej Cesarz





Michał Korzan

## WIĘC JEŚLI BĘDĘ

Więc jeśli będę musiał  
powielać to wszystko od nowa  
tę mistyfikację maskaradę  
żałosną dyplomację małego referenta  
Codzienny jarmark cudów  
i herbacianych rewelacji  
Gdy przyjdzie mi odtańczyć  
raz jeszcze po wielekroć  
ten awangardowy balet  
od intermezza pas de deux  
w rytmie przyspieszonym  
o poranny zew budzika  
o krzyk sąsiadki na parterze  
placz dziecka i wodę z kranu  
o golenie bieg po schodach  
kawalkadę uliczną Aż po  
wieczorną serenadę moderato  
na cztery spracowane ręce  
i dwa znużone ciała  
spragnione snu  
za pośpieszną pieczęcią  
Jeśli będę nadal  
skazany na  
jazdę tramwajem samochodem  
odejścia powroty pozostania  
piesze wędrówki za żab kumkaniem  
warczącymi tunelami ulic  
wśród doskonale obojętnych  
zapędzonych drapieżników  
Na balsamiczną ciszę

Rys. Jacek Urbański

wiejskich gościńców  
mielonych kół terkotem  
na dnie kolein przyczajonym  
na zachody słońca  
pachnące mlekiem i maciejką  
na letni zaduch bram  
co jak złośliwe wiedźmy strzegą  
tajemnic kamiennych podwórek  
Na jesienne katary  
ból zębów i żołądka  
pocałunki własne i cudze  
na feerię zapachów  
skoszonych łąki  
Jeśli to wszystko naprawdę  
będzie znów mi dane  
to będę nader szczęśliwy  
szczęściem małego statysty  
tej bezkresnej sagi  
bogato ilustrowanej  
rykiem krów i dzieci dorastaniem  
wojnami westchnieniami  
drżeniem ziemi  
powodziami i lawinami  
przemijaniem zwątpieniem  
nadzieją na spóźnioną miłość  
na spokojną starość  
i poranną gazetę  
czytaną ukradkiem  
w biurowym ustępie

## ZE ZRODEŁ ARCHIWALNYCH Staropolskie księgi sądowe SENTENCJE I DOWCIPY

**K**SIĘGI grodzkie, ziemskie i miejskie przechowywane w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Lublinie zawierają przede wszystkim wpisy o charakterze prawnym. Ich formularz był ściśle określony i nie pozostawiał miejsca na dowolne sformułowania pisarza, poprzez które można by było dostrzec jego osobowość, dopatrywać się w nich jego własnych przemyśleń czy doświadczeń życiowych. Trafiają się jednak sporadyczne wpisy na marginesach lub pustych kartach ksiąg czynione przy okazji „próby pióra”, które rzucają nieco światła na ich autora. Najczęściej trudno z całą pewnością ustalić jego imię i nazwisko, a nawet sprawowaną funkcję — pisarza czy podpisaka. Odnosi się to zwłaszcza do ksiąg sądownictwa szlacheckiego, w którym urzędnicy kancelaryjni zmieniali się często a ich liczba bywała znaczna.

W kancelarii miasta Lublina autorem licznych sentencji był Wojciech Lewicki pisarz urzędu wójtowsko-lawniczego z pierwszej połowy XVII wieku. Tematyka tego rodzaju zapisów jest bardzo bogata — od poważnej refleksji filozoficznej po żartobliwą, kpiącą a niekiedy nawet wulgarną. Najlepiej ukażą to wybrane przykłady (w tłumaczeniu na j. polski).

„Jeśli bliska ciebie jest wyzwalająca śmierć — ucz się żyć. Jeśli dane ci jest żyć szczęśliwie — ucz się umierać”

„Nieświadomy jest umysł ludzki przyszłych losów”

„Człowiek, gdy wejdzie do cudzego choćby milego domu wie, że musi go opuścić. Z wychodzącym odchodzi wspomnienie”

„Milczenie i oczekiwanie stanowią

broń cierpliwości; nią pomści krzywdy i odejdzie jako zwycięzca”

„Miłość wszystko zwycięża, więc bązmy ulegli miłości”

„Ile kwiatów w polu, tyle jest w miłości bólu”

„Kto przyjaciela swego przymusza pić wiele, ten go zaraz zabija na duszy i ciele, lecz zwyciężaj dobry — szlachetka ozdoba, tyle jeść, tyle pić, ile się podoba”

Pod wpisem z r. 1667 zatytułowanym „szlachetny Zbysław poraniony”, późniejszy żartowniś dopisał: „Zbyłeści sławy, kiedyś się dał pobić, dobrze też było kordem w rękę robić”

W okresie, gdy omawiane księgi po upadku Rzeczypospolitej trafiły już do sądów pokoju i tam były przeglądane dla różnego rodzaju kwerend majątkowych i genealogicznych, znudzeni monotonią a nierzadko i bezskutecznością poszukiwań urzędnicy dawali folę swym uczuciom w niewybrednych słowach. W r. 1822 pod informacją „szukał przywilejów, granic, podziału gruntów i lustracji” ktoś dopisał: „za ten napis gładki wyliz wszystkie zadki” Czytając, być może tego rodzaju uwagi, inny urzędnik sądowy, H. Filipkowski, filozoficznie stwierdził: „wiecznej pamięci co pisarz skreśli” (1825 r.) utwierdzając niejako wcześniejszą opinię o pisarzach wypowiedzianą przez Wojciecha Lewickiego: „Tantal pośrodku morza pragnie wody i chwytając uciekające jabłka; pisarz plecie, co mu ślina na język przyniesie”

Ewentualnym czytelnikom tych wpisów odpowiedział jeden z pisarzy kancelarii grodzkiej grabowieckiej (XVII w.): „Jam tyż tu pisał, bom nie miał zabawy, a ty lepiej nie czytaj, bo tu nie masz sprawy”

Opr. Maria Trojanowska

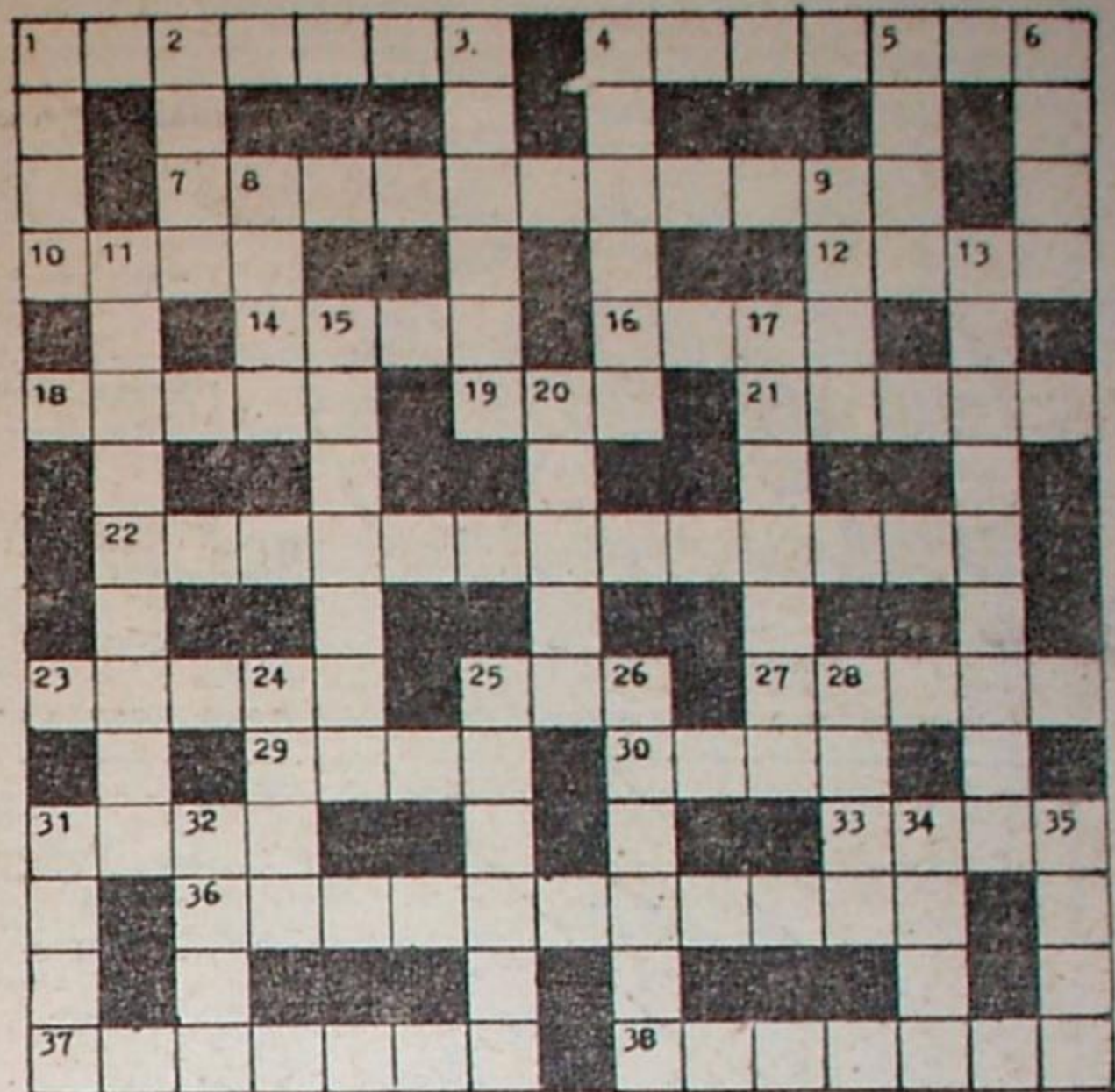


WAPL, księga wójtowsko-lawnicza m. Lublina, XVII w.



# KRZYŻÓWKA

(nr 3)



Porozmawiamy: 1. kolejno po sobie następujące karty, 4. surowiec na bigos, 7. nauka zajmująca się wykopaliskami, 10. statek wyprawy po złote runo, 12. pisarz czeski, autor „Miasteczka na dloni”, 14. ziemia uprawna, 16. miasto i duży port na wyspie Honshu, 18. jedno z imion Poego, 19. sportowa lub hazardowa, 21. szkolny sprzęt, 22. autorka „Dziewcząt z Nowolipek”, 23. księstwo utworzone na Peloponezie przez krzyżowców po IV krucjacie, 25. miasto konfederacji, w której uczestniczył Pulaski, 27. stolica Afganistanu, 29. pieśń patriotyczna do słów Marii Konopnickiej, 30. silne uderzenie, 31. bożek leśny, 32. mityczny lotnik, 34. pisarz duński, laureat Nagrody Nobla, autor powieści o tym samym tytule, co dzieło Reymonta, 37. góry w Europie, 38. chodzi we śnie.

Pionowo: 1. opowieść rodzinna, 2. pisarz norweski (1871-1933), autor powieści z życia rybaków, 3. rząd po zwrocie o 90 stopni, 4. inwalida, 5. polska ciężarówka, 6. Tuhał-bejowicz, 8. surowiec energetyczny, 9. myśl przewodnia, 11. usunięcie studenta z uczelni, 13. władza jednostki, 15. jezioro na granicy USA i Kanady, 17. reżyserka teatralna, współtwórczyni lubelskiego teatru po Wyzwoleniu, 29. prawda, 24. przepływa przez Florencję, 25. następcza Walezego, 26. drażek do obracania steru, 28. operowa solówka, 31. strój balowy, 32. przesadna stanowczość, 34. w świecy, 35. amerykański sekretarz stanu w latach 60, rzecznik interwencji w Wietnamie.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

## ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 25

Poprzemysł: Przybyszewski, kobza, garda, Krynica, klakier, runda, Świat, Illinois, aukcja, balans, piasta, Abakan, rozblysk, Turyn, zorza, arianie, wanilia, Rossi, junak, nostryfikacja.

Pionowo: potrawka, Pakistan, zegarek, Byron, szakal, Elba, Saki, impresje, kania,

Dłana, lipa, uszy, czako, barbakan, ambra, intencja, Trynidad, krawiec, szeryf, rysak, ibis, negr.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 25 nagrody książkowe wylosowali: Halina

Jaworska 20-606 Lublin, Pana Tadeusza 12703, Henryk Czulowski 20-313 Lublin, Łęczyński 59/52, Zenon Cichy 64-100 Gorzów Wlk., Gwiazdźista 7/50, Jerzy Mielicki 95-200 Pałanice, Zymierskiego 16/5.

# POCZTA literacka



Zbigniew M.: „Bardzo pragnę zostać poetą, ale nie wiem, nie jestem pewny, czy mi się to uda [...] Pierwsza moja miłość do dziewczyny była nieszczęśliwa. Później były dalsze takie same. Już dwa razy usiłowałem popełnić samobójstwo. Usiłowałem pozabawić się życia tabletkami. Teraz, ostatnio rzuciłem się pod jadący samochód. Ocalałem jednak, nie zostałem draśnięty. A to wszystko stało się właśnie przez dziewczynę, którą tak bardzo kochałem [...] I właśnie po takich przeżyciach postanowiłem pisać wiersze...”

To bardzo dobrze. Nie ma lepszego lekarstwa na nieudane uczucia, jak szukanie zapomnienia w jakiejś pracy. Pan wybrał pisanie wierszy. Także to praca. Ciężka, niebezpieczna, gdzie o wypadek nie trudniej niż na chwiejnym rusztowaniu. Właśnie obawiam się, że czeka Pana jeszcze jedno niespełnienie — brak wzajemności ze strony poezji. Proponuję miłość platoniczną — czytanie poezji, a nie jej uprawianie, bo te utwory, które dołączył Pan do listu, niemal gwarantują kolejne rozczarowanie. Tyle co do poezji. Pozostaje sprawa dziewczyny. Jedno jest pewne: gdyby wszystkie złamane serca miały rzucić się pod samochód, od dawna nie byłoby kierowców, maszynistów kolejowych itp., a ziemia stałaby się księżycową pustynią. Z całego serca odradzam kolejną próbę refleksu i hamulców jakiegos kierowcy!

Hildegarda F. Bielsko-Biała. W tych wierszach, choć z pozoru tak ciepłych, widać chłodem pustostwo. Sarkofag marzeń, wrota Edenu, loty Ikara, różnopolca Eos, cynobry świergotu, warokoz Berenniki, tornado uczyć i tryby intelektu! W sumie — wrażenie takie, jakby ktoś w drewniakach pisał po blaszonym dachu. Jeden z wierszy zaczyna się stwierdzeniem: „Nie umiem nazywać tęsknoty! Jest zbyt odległa”. I chyba nie narwie jej Pani dopóty, dopóki postugiwać się będzie tak zdrowotnymi pojęciami. Do tego jeszcze ten wręcz kosmiczny rozrzut tematów, to wszystko i nie! Opowiadanie pt.: „Zagrozenie”, rozpoczynające się obrazem człowieka grzebiącego w śmietniku, zamienia się w opowieść o alkoholiku i jego powolnym upadku. Niestety, w tym temacie ma Pani groźnych konkurentów, choćby Hłaskę z jego „Pełną”. Ale tam czytelnik tkwi w środku dramatu, a tu dzieje alkoholika opowiada babela, usadowiwszy się uprzednio w fotelu, z szalem na kolanach. Zaczyna jak baletkę, mówiąc dosłownie: „A było to tak...”

Krzysztof O. Cały plik „opusów” odleżał się długo, ale ich lektura wykazała, że niepotrzebnie tak długo. Tyle pracy włożonej w nic, to również osobliwa sztuka. Gorąco odradzam kontynuację. Jeżeli mówi się, że skalpel najpierw rani, potem dopiero leczy, to właśnie zalecam terapię skalpelową.

Jeremi Jerzy W. Szukam uzasadnienia, dlaczego zdania rozpisałem na linijki, uznał Pan za poezję — i nie znajduję. Zakończmy sprawę cytatem: „czy przypominasz sobie tego /kniwiarza co nocą kosił/ i te jego słowa /ze pion trzeba zbierać/ we właściwym czasie /i wszystko inne przyjdzie/ bo świat jest pełen automatycznych/ skojarzeń i naśladowictwa”.

Edward E. Dzieciństwo „w podartych portkach” — ten motyw dominuje, powraca w gorzkich motywach. W pewnej chwili pojawia się coś, jakby przełamaniem: „Już serce pełne śpiewu /w kieszeniach, pełno zawileców, — aby za chwilę palnąć kula w plot: „Ja rozstrzelany ideał z karabinem”. Poczekałmy, aż uciwna karabiny i przemówia muzy.

K. D. W sporęj przecięt poręgi „złoty myśli” odnajduje kilka „takich sobie”, czyli średnich, toteż nie tracąc czasu na obiecani, przytoczę kilka, aby wilk był syty i owca nie zjedzona. „Klient ma zawsze rację — w domu”. „Najdoskonalszym paragrafem prawa jest wienie”. Moje wątpliwości zaczyna budzić następną myśl: „Matężstwo jest zawsze triumfem kobiety”. A już odkrycie, że „Polityka to gra słów” dowodzi, iż bezkrytycznie lubi Pan wywalać otwarte drzwi. Którego metrycznego ołni stwierdzenie, że „Kobieta jest ziemi koniecznym”, a która niewiasta zgodzi się z propozycją, iż „Kobięcie nie mężczyzna, lecz rozkosz jest potrzebna”. W sumie jednak, lektura Pańskich kalamburów utwierdziła mnie w przekonaniu, że do stworzenia złotych myśli wypada zabrać się „przeżywszy co nieco”. A już temat „kobięcie” wymaga niezwyklej ostrożności i skromności w ocenie własnych doświadczeń. Proszę sobie wyobrazić, że w całym zespole „Kameiny”, którego, niestety, trudno już powiedzieć o młodzieńczości, nie ma nikogo, kto w tym właśnie temacie czuły się jak ryba w wodzie. Przeżywszy więc pierwsze rozczarowanie i próbę romanisu z „Pocztą literacką”, daje Panu, ale już zupełnie prywatnie, tzw. moralne prawo do pisanja kalamburów... o niej samej. Zrezygnuj, jadawite — wydrukujemy.

Paweł Szczygłowski, Adam O., Władysław Cz., Chelm, Andrzej D., Wojciech Z., Piotr Sz., Bernard N., Irena B., — nie skorzystamy.

H. P.



## „W OBRONIE ADIUNKTÓW”

W nr. 1 „Kamieny” z bieżącego roku ukazał się artykuł p. prof. J. Opieńskiej-Blauth „W obronie adiunktów”, w którym podano, że Wydział Farmaceutyczny Akademii Medycznej w Lublinie nie ma dotychczas praw habilitowania. Nie jest to zgodne z prawdą: Monitor Polski nr 11 z 27 kwietnia 1979 r. podaje wykaz uczelni uprawnionych do nadawania stopni naukowych, w którym wymienia także oba wydziały Akademii Medycznej — lekarski i farmaceutyczny — jako uprawnione do nadawania stopni naukowych zarówno dr. nauk, jak i dr. habilitowanego.

Upzejmie proszę o sprostowanie tej nieścisłości.

Dziekan  
Wydziału Farmaceutycznego  
AM

Prof. dr hab. Lech  
Przyborowski

## NIE LUBIĄ

Moje dziecko mówi, że nie lubi szkoły. Pytam znajomych: ich dzieci też nie lubią szkoły. Przy okazji proszę nauczycielkę o wyjaśnienie sprawy, a ona mi odpowiada, że ucale się dzieciom nie dźwi, ponieważ szkoła nadmiernie obciąża uczniów, poziom programów jest wysrubowany, sami rodzice są bezradni wobec zadań matematycznych już z VI klasy. Zresztą, dodaje, pani syn to i tak ma szczęście, że jest już w VIII klasie, a więc nie zdąży go objąć „dziesięciolatka”. Wtedy to dzieci dostaną „szkołę”...

Wanda Konieczna  
Lublin

## A PRZEDSZKOLI BRAK

Czytam w 10 nr. „Trybuny Ludu”: „Mamy bardzo wysoki wskaźnik zatrudnienia matek. Jednocześnie zajmujemy jedno z ostatnich miejsc pod względem liczby miejsc w żłobkach i przedszkolach. W związku z tą niekorzystną sytuacją poszukujemy od dłuższego czasu rozmaitych sposobów poprawy istniejącego stanu rzeczy. Jak zwiększyć i przyspieszyć skuteczność tych działań?”

Otóż na lubelskim terenie to ja bym chyba znalazła pewne rozwiązania. Wyciągnęłabym np. odpowiednie wnioski wobec tych ludzi, którzy są odpowiedzialni za to, że dwa przedszkola, rozpoczęte przez budowlanych bodaj pięć (osiedle Piastowskie na LSM) i trzy lata temu (osiedle Prusa), do dziś nie zostały oddane do użytku, choć pod względem technicznym są to

inwestycje dość proste (niskie budynki). Rozumiem, mieszkaniówka ważniejsza, ale jak długo jeszcze będziemy budować etapami, zamiast kompleksowo!

Janina Zybek  
Lublin

## CMENTARZ PRZY LIPOWEJ

Ma Warszawa stare Powązki, ma Lublin cmentarz przy ul. Lipowej. W stolicy udało się jednak powołać społeczny komitet czy towarzystwo opieki nad nekropolią, a nas nie słychać o tym, chociaż pora byłoby bardziej zainteresować się o ten znakomity rezerwat, gromadzący ciekawe pomniki i diadema niemal lat. A może pokusiłby się ktoś kompetentny o napisanie monografii lubelskiego cmentarza czy obszernego eseju, który wszedłby w skład ewentualnego albumu fotograficznego, przedstawiającego ten szczególny zakątek miasta? Takie wydawnictwa ukazują się na świecie i w kraju, ciesząc się dużym zainteresowaniem czytelników. Jestem przekonany, że rzecz o cmentarzu przy Lipowej także miałaby licznych odbiorców.

inż. Zygmunt Kania  
Lublin

Informujemy, że dwa wiersze bez tytułu zamieszczone w 24 nr. „Kamieny” z ub. roku na str. 11 są autorstwa Jana Henryka Cichosza z Krasnostawu. Przepraszamy autora za błędną sygnaturę jego utworów.

A swoją drogą prosimy o podpisywanie imieniem i nazwiskiem każdego wiersza, nadsyłanego do redakcji. (Red.)

## Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyk-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Miłkowski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Henryk Pajak (kierownik działu literackiego), Maciej Podgórski, Waldemar Stepien (fotoreporter), Redaktor techniczny — Irena Konosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmuje Oddział RSW PRASA — KSIĄZKA — RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:

- do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następnny,
- do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
- do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
- do 10 września na IV kwartał.

Jednostki odpowiedzialne i upoważnione do przyjmowania prenumerat w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄZKA — RUCH” w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze steczeniem wysyła za granicę przyjmując RSW „PRASA — KSIĄZKA — RUCH”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwa ul. Towarowa nr 29 00-058 Warszawa, konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze steczeniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla złeciodawców indywidualnych — o 100 proc. dla złeciodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmujemy interesantów w poniedziałki i piatki w godz. 14-18.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Nr indeksu 25231

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93 dział publicystyki i literacki 275-35  
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polscone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

# AFORYZMY

Szerokie plecy sięgają często aż na bok.

Przerosty ambicji najczęściej przerastają oczekiwania.

Wstydu jeszcze nikt nie najadł się do syta.

Nie jeden autorytet trwa niewzruszenie w posadach protektorów.

Schodząc na złą drogę, niewiele uwagi zwracamy na jej nawierzchnię.

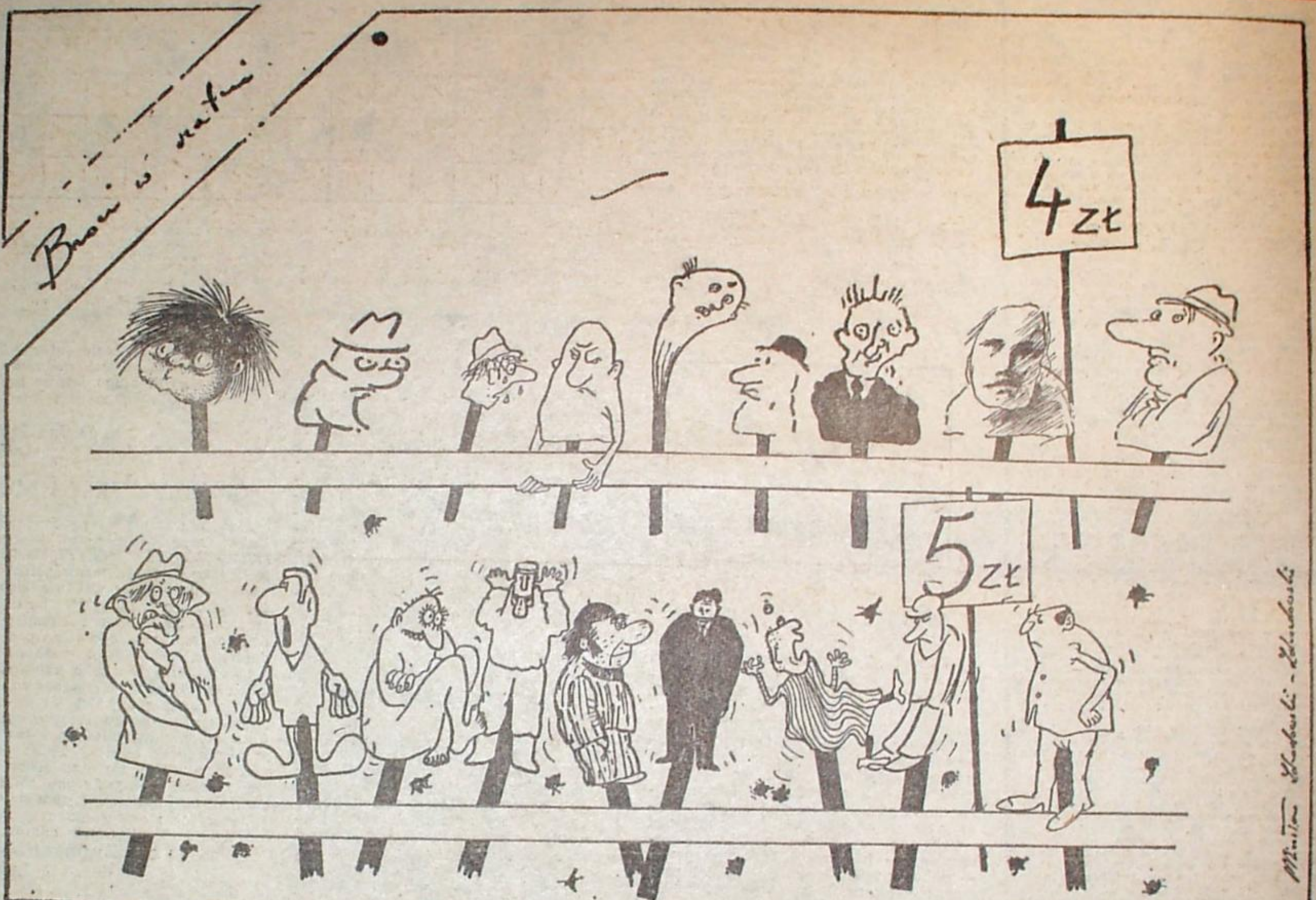
Niebieskie ptaki najczęściej bywają przelotne.

Życie często głaszcze po głowach tych, którzy do niego nie dorosli.

Zawołanie: „Wielkie nieba” nie dowodzi znajomości astronomii.

Mijając się z prawdą, włączajmy śr datta mijania.

I na czworakach można wejść do historii.



Kto jest kto, czyli ludziki naszych rysowników

Rys. Mirosław Zdrodowski-Zdrodowski

## Romuald Lenech

### Aeroślizy na szelki

**P**AMIĘTACIE chyba wszyscy sensację, jaka towarzyszyła niegdyś wynalazkowi „poduszkiowca”, czyli ciężkiego pojazdu unoszącego się jak piórko nad powierzchnią ziemi napędem sprężonego powietrza? Nie będę teraz tracił czasu na przekonanie i jatowe przysięgi, że na tzw. dużym świecie istnieje także poduszkiowiec indywidualny — siedzeniowo przyrząd, który umożliwiła konkret-nemu człowiekowi szybkie podróże bezpiecznym lotem nad powierzchnią ziemi.

Otóż pewnego dnia otrzymałem od stryja z Ameryki taki prywatny poduszkiowiec o nazwie „Arsewing” z emblematem wyobrażającym rozpięte skrzydła wokół torsu. Całość ważyła kilka kilogramów, nosiło się ją na szelkach i można było od biedy ukryć pod marynarką. Przyciśnięcie odpowiedniego guziczka wyzwalalo pracę dysz na napęd gazowy i umożliwialo błyskawiczne oderwanie się od ziemi.

Oczywiście, że upałem się moim aeroślizgiem na szelki! A to skok do sklepu Fotooptyki na peryferiach po ostatnie błony kolorowe do aparatu fotograficznego, a to wyjazd w dwie minuty na odległą wystawę psów rasowych, a to odwiedzenie wójskiej kółtorowoci i szumie dysz spod marynarki wszystkich biur rzeczy znalezionych w poszukiwaniu placzka, który przedwczoraj oddałem do gwarderoby w spółdzielni lekarskiej i którego więcej nie miałem oglądać... A to znów wi-

zyla u pani Miki, której maż tymczasem o trzysta kilometrów... itd. Ale nie upałem się egotystycznie użytkowaniem aeroślizgu wyłącznie na własny rachunek. Jak mogłem, służyłem również innym.

— Kochany panie Karzku, skocz pan dla nas po ciacha do cukierni — prosiły koleżanki ze spółdzielni i spychały mnie wprost z futryny okiennej na ulicę, świadome, że dmuch powietrza spod marynarki utrzyma mnie bezpiecznie w powietrzu. Niektóre koleżanki tak się roz-zuchwalały, że wymagały wprost przejazdów do fruzjera czy na targowisko na moich ramionach. Wyplądaliśmy wówczas jak fruwojąca na tle Paryża para z kobietą siedzącą okrakiem na karku mężczyzny ze słynnego obrazu Chagalla.

Najcięższymi były błyskawiczne rajdy za częściami zamiennymi produktów naszej spółdzielni, po które mnie wysyłał prezes, nie racząc nawet zwrócić należności za gaz do dysz.

— Wszyscy naokoło gazują i tankują — tłumaczył się — a nikt nie sąda za to funduszy, tylko wy, kolego... Byłem widoczny niemal na wszystkich ulicach jak bąk unoszący się nad majową łaką. Nie moja wina, że wkrótce stałem się popularny i sławny jak Colombo, Kojak i Maryla Rodowicz razem wzięci.

Jakże trudne jest życie człowieka sławnego! Zauważyłem wkrótce, że moje najlepsze intencje tłumaczono się na opak.

Ileż razy chciałem uciec się swoją skromną obecnością na wernisażach rozmaitych staw plastycznych, ażeby chłonąc uroki dwudziestu pięciu wersji tajemniczych białych zygzaków na czarnym tle! Wystarczyło, abym w czasie przemówienia gospodarza galerii wleciał na najcichszy obrotach poduszkiowca do sali, a tłum konserwów i urzędowych notabli odwracał się od niepowtarzalnych zygzaków i skupiał uwagę bez reszty na mnie. Stopniowo zawodowi artyści zaczęli mnie jeszcze bardziej nie cierpieć niż plastyków amatorów. Przeprowadziłem w swoim statucie paragraf zabraniający mi pokazowania się na wystawach i uprawiania — jak to nazwali — „brudnej konkurencji”.

Mając przed sobą zamknięte drzwi szanujących się galerii, skierowałem pęd do przestrzeni w stronę gór. Pamiętałem z dzieciństwa wierszyk przekazywany pokoleniami: „W góry, w góry, miły bracie, tam swoboda czeka na ciebie”. Byłem przekonany, że mój sposób pokonywania przestrzeni i assekuracja od niebezpieczeństwa odpadnięcia z wysokiej skały zostaną przyjęte przez taterników z entuzjazmem.

Podlałem trochę pieszko pod strumąłką Czarapary i na skalnym upłazku włączyłem motorek. Cóż za frajda unosić się swobodnie nad Kozią Grupą, Baranicą, igłami Pruszcatego Wierchu i Końskich Bulek i nie spadać w dół! Przeleciałem, kłując dłońmi obok paru spocynych i zziębniętych taterników, którzy dobywali ostatka siły, aby się utrzymać na skalnej półce. Zrobiłem im dłonią „czeseć” i pojrzałem na sam szczyt. Nie były mi potrzebne liny, karabinki, haki i czekany. Zamiast assekuracji służył mi pęd sprężonego powietrza.

Udany początek ośmielił mnie. W czasie następnych wycieczek zacząłem wy-czerpywać rozmaite figle, ciesząc się sto-

rodą ptaka. A to z Babrosiowej Turni zleciałem głową na dół, aby w ostatniej chwili wyładować miękko na upa-zie, a to przekosiłkowałem nad mło-wymi taterniczkami, posyłając całusy i niktą za Diabelską Rynną. Lataniem tu i tam, szerząc ofensywę uśmiechów. Spotykałem w odpowiedzi pomru spojrzenia górólazów i wrogie odzywkę: — Gór uszanować nie potrafi, bydlę ceperskiej Zlaty, jak my, w przepaść, a nie zastanij się motorkiem! Będzie nam tu jeszcze śpiewał w locie dumne piosenki góralskie. W parku obowiązuje cisza!

Pod koniec sezonu wspinaczkowego, mimo ubytku kilkunastu taterników, którzy uszanowali góry i spadli bez assekuracji w dół, i tak spora grupa na własnym zebraniu Klubu Płonowego Marszu wprowadziła ostry zakaz fru-wania nad skalami jako nieetycznego i deprawującego młodzież.

Kiedy spróbowałem — wbrew zakaza-wi — zakosztować poduszkiowej wolności, poleciałem w moim kierunku na wysokości dwu i pół tysiąca metrów nad poziomem morza, garści piargu, kamyczków i ogryzków.

I trzeba mi było próbować zachy-tywania się swobodą w górach! Wycofałem się, zrażony, ze wszyst-kich latających imprez. Najznakom-itszego wynalazka XX wieku, dodając symbolicznych skrzydeł, przedla-tem praktycznie używać. Wpadłem w odrętwienie i apatię. Jedynie w czasie wyjątkowych okazji rodzinnych, jak imieniny, porzuciłem sobie na lot moim aeroślizgiem „Arsewing” dokoła stołu, ku uciesze gości...

Wcale się nie dziwię, że obecnie większość obywateli wąpił w ogóle w posiadanie przez mnie cudownego poduszkiowca. Ja sam spoglądam czasem z niedowierzaniem na zakurzony przy-rząd wepchnięty za szafę, z którego zwisała smętna szelki...